

JAK DALEKO SIĘ POSUNIESZ, ABY ZDOBYĆ TO,
CZEGO PRAGNIESZ?



**PANI
ZWYCIĘSTWA**

MIŁOŚĆ
-
ZBRÓDNIA
-
PIĘKA
NOŻNA

PAWEŁ FLESZAR

PANI ZWYCIĘSTWA

JAK DALEKO SIĘ POSUNIESZ, ABY ZDOBYĆ TO,
CZEGO PRAGNIESZ?



**PANI
ZWYCIĘSTWA**

PAWEŁ FLESZAR

Copyright © Paweł Fleszar 2026

Projekt okładki: Łukasz Łabęcki
Projekt typograficzny i layout: Łukasz Łabęcki
Redakcja merytoryczna: Mateusz Janiak
Redakcja i korekta: Anna Brzezińska
Retusz: Tomasz Celiński
Koordynator projektu: Katarzyna Drosio

Zdjęcia na okładce:
123RF, Tomasz Markowski, Getty Images, Adobe Stock

*Nie licząc meczów piłkarskich i postaci
z historii światowego futbolu,
wydarzenia i bohaterowie są fikcyjni.
Wszelkie podobieństwa do osób rzeczywistych,
żyjących lub umarłych jest przypadkowe.*

Wydawca:
Ringier Axel Springer Polska Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 49
02-672 Warszawa

Bezpieczeństwo produktu: GPSR@ringieraxelspringer.pl
Kontakt: biblioteka@przeegladsportowy.pl
Księgarnia internetowa: literia.pl

ISBN: 978-83-8250-658-7

Warszawa 2026

**KWIECIEŃ
2004**

1.

Pewnie nie znaleźliby tego trupa, gdyby nie rowerzyści. Pierwszy obdzwoił ich z oburzeniem, bo trzymając się za ręce, zajmowali ponad połowę alejki. Z drugim omal nie zderzyli się w blaszanym przejściu pod zaporą na Dąbiu, dlatego przenieśli się nad samą rzekę. Tutaj, w trawie, między rzadko rosnącymi krzakami i drzewami, można było co najwyżej wdepnąć w psią kupę lub pustą butelkę. W ubiegłym tygodniu wszystko zaczęło kwitnąć, w powietrzu unosiły się wiosenne zapachy. Za to znad wody zalaływał lekki smrodek, ale jeszcze w styczniu, gdy szwendali się bulwarami między Zabłociem i Podgórzem, Karolina zwierzyła się, że jest ze wsi i woli zapach zgnilizny od spalin i smogu. Ubarwiła to wyznanie humorystycznymi wspomnieniami o upadku z fury z sianem, kiedy drewniany kozioł, na którym siedziała, zahaczył o rozciągnięty na podwórzu kabel, doprowadzający prąd z domu do obory. Tam z kolei innym razem krowa zgasła jej światło, kopiąc ją w głowę. To było ich drugie umówione spotkanie i po raz pierwszy pomyślał, że chyba poznał dziewczynę swojego życia. Może nie ze względu na upodobania, ale szczerść i bezpretensjonalność. W najgorszym razie jest dziwaczką, a nie pozerką.

Brodziła wąską ścieżką. Idąc za nią, miał przed oczami odsłonięty kark i pojedyncze, jasne włoski wymykające się spod spinki. Schylił się i pocałował ją w szyję. Usłyszał, jak zachłystuje się powietrzem, ni to w szlochu, ni to w stłumionym okrzyku. Jeszcze przed chwilą, gdy koło rowerowe niemal uderzyło ją w udo, odskoczyła z cichym przekleństwem. Co jest?! Nigdy tak nie działał na kobiety.

– P-po-po-patrz! No, p-po-patrz tam! Co t-to jest?
– Pokazywała ręką zabetonowany uskok, kończący się małą pochylnią, o którą pluskała woda. Leżał tam, na wpół zanurzony, nagi człowiek. Jakby gruby manekin. Tak mu się skojarzyła jego barwa i kształty. Przecież takie rzeczy nie dzieją się naprawdę. Niedawno był świadkiem podobnie surrealistycznego zdarzenia, gdy w galerii handlowej facet wlaźł w szklane drzwi, których nie zauważył, a nie odsunęły się wskutek jakiegoś zacięcia.

– Trzeba coś zrobić. Wezwać kogoś. Policję czy pogotowie – szeptała gorączkowo Karola z twarzą przy jego ramieniu.

Na pogotowie było już za późno. Większa fala poruszyła tułowiem, który obrócił się frontem w ich stronę; Maciek zobaczył sumiaste wąsy, pod nimi otwarte usta i wyszczerzone zęby. Niżej jeszcze jedno. To grdyka wyzierała z rozciętego gardła.

W policyjnej furgonetce chyba rozbiła się butelka z cytrynowym odświeżaczem powietrza. Aż kręciło w nosie. Karolinie, która dygotała tak, że nie mogła wydusić słowa, podali środki uspokajające, siedziała w innym samochodzie. Jemu kazali czekać tutaj na złożenie zeznania. Przez okienko widział policjantów robiących zdjęcia, wieszających biało-czerwone taśmy na otaczających betonowy uskok czarnych stalowych konstrukcjach. Zjeżdżały się kolejne samochody.

– Ooo, co za niespodzianka! – rozległo się od drzwi. Tak, to pasuje do tego surrealistycznego krajobrazu, uznał Maciek. Gliniarzem powinien być jego kolega z prawa, który wyleciał na trzecim roku i wylądował w prywatnej szkole, złośliwie nazywanej – w zależności

od stopnia cynizmu i doświadczeń z nią – Kup Sobie Wykształcenie lub Kup Sobie Wpis.

– Ta dziewczyna, która była z tobą, czuje się już lepiej – oznajmił Mateusz Jesionek. – Koleżanka odbierze od niej zeznanie. Kim ona jest dla ciebie?

– Koleżanką – zjeżył się Maciek. – Jakie to ma znaczenie?

– Ustalam fakty.

– Z Wisły wypłynął woskowożółty nieboszczyk z rozplątanym gardłem, a policję interesują moje relacje z dziewczyną?

– Dobra, wróć. Chciałem zacieśnić kontakt, nawiązując do kwestii, które wywołują u rozmówcy miłe skojarzenia. Tak nas uczyli na kursie niedawno. Ale widzę, że u ciebie nie wywołują.

– Bardzo ją lubię, tylko że pierwszy raz w życiu znalazłem zamordowanego człowieka i skojarzenia mam jednoznacznie negatywne.

– Dopiero śledztwo wykaże, czy został zamordowany.

– Zaciął się przy goleniu?

– Słabe. To mógł być wypadek. Ma też nietypowe obrażenia, na przykład rozległy ślad po poparzeniu na lewej piersi.

– Po wypłynięciu z wody to faktycznie dziwne.

– Ma skórę poszarpaną jak od kwasu. Ale nie wyciągaj ode mnie takich informacji – zaśmiał się. – Weźmy się do roboty. Opowiedz, co tu robiliście i jak znaleźliście tego gościa.

2.

Położony w cieniu Błękitka budynek mieścił drukarnię i „Echo Małopolski”, a także ich – niedobitków po „Rekordzie”, przejętym przez „Kronikę Sportową” i egzystującym

już tylko jako jej niewielki oddział. Czuć było zapach karmelizowanego cukru, przywiewany zza ronda Kotlarskiego razem z odgłosami przedpołudniowego ruchu samochodowego.

Wczoraj wieczorem odprowadził małąmówną i otępniał od środka uspokajającego Karolinę do akademika przy Śliskiej. Po powrocie wypił trzy piwa i chyba tylko dlatego udało mu się zasnąć. Obudził się po czterech godzinach. Leżał, starając się odgonić spod powiek obraz gołego wścacha, a z głowy uporczywe myśli: został zabity? kto go zabił? dlaczego? Dlaczego wrzucili go do Wisły, dlaczego wypłynął w tamtym miejscu? Przypominały mu się kryminały czytywane nałogowo od dziecka. Ludzie, którzy na początku natykali się na trupy, zwykle później nie uczestniczyli w powieściowej akcji, nie też nie wiedziało się o wątpliwościach nękających ich w związku ze znaleziskiem. O bezsennych nocach oraz zaskakujących rannych drzemkach, przez które spóźniali się do pracy.

– Proszę, pan Maciej Porzyński odwiedził redakcję. – Anna Leśniak na ogół witała się zgryźliwie. – Wy, dziennikarze, wysypiacie się jak niemowlęta. Ale pewnie powiesz, że jesteś typem nocnym i wolisz długo siedzieć, niż wcześniej wstać?

– Nie. Jestem wyznawcą kompromisu w każdej dziedzinie: ani nie kładę się późno, ani nie budzę się wcześniej.

– Masz cukrzycę, że tyle śpisz?

– Narkolepsję. – Przy tej kobiecie po czterdziestce jakoś nigdy nie brakowało mu refleksu. Może dlatego, że w kwestii stosunków damsko-męskich była dla niego zupełnie neutralna. Za to życie uczuciowe dziennikarzy budziło jej szczerze zainteresowanie.

– Byłeś wczoraj widziany, gdy zabierałeś spod Błękitka jakąś pannę i szliście w kierunku Związkowca. Czemu ja jeszcze nic o tym nie wiem?

– Bo o błogosławieństwo prosi się dopiero przed ślubem, i to bliższych krewnych niż szefowa działu wydawniczego.

– Ale na tym etapie możesz przedyskutować sprawę ze mną. Jaka ona jest?

– Miła, inteligentna. Studiuje anglistykę na UJ-ocie.

– Jaki ty, młody, jesteś naiwny. Po co ci inteligentna i wykształcona żona? O filozofach będziesz z nią rozmawiał przy osranych pieluchach? Nie będziesz. Lepiej znajdź sobie ładną, żeby ci koledzy zazdrościli.

– Karolina jest bardzo ładna. A wczoraj wspólnie znaleźliśmy trupa obok Stopnia Dąbie. Myśli pani, że to sementuje nasz związek? – Najwyższy czas przerwać te pogaduszki w sposób drastyczny.

– Miałeś mi mówić na ty... Zaraz, co ty gadasz!?! Tego topielca, o którym piszą w gazetach? Nagiego?

– To prawda, był tekstylnie niedowartościowany. Ale chyba się nie utopił, tylko go schowali nieżywego do wody. Sorry, muszę iść na zebranie.

– I tak mnie zostawisz bez puenty?

– Puenty szuka policja. Porozmawiamy jeszcze. Muszę iść, bo kiero znowu mi będzie brzęczał.

Trochę zdeptali tego bramkarza, kiedy Dawid Miarka zapakował do sieci, ale sędzia nie gwizdnął. Amica może żegnać się z nadziejami na mistrzostwo. Jakoś zupełnie inaczej ich traktują, odkąd „Cukiernik” – działacz, o którym krążyły niechlubne legendy – przeniósł się do Poznania. No i tych trzydniowych imprez dla dziennikarzy

w hotelu klubowym we Wronkach już nie ma. Urządzano je z okazji meczów ligowych, ale niektórzy nie mieli potem nawet siły wyjść na trybunę.

Jak zwykle, kiedy musiał napisać relację w trakcie gry i wysłać ją do redakcji tuż po ostatnim gwizdku, miał karuzelę w głowie i różne absurdalne myśli, produkowane przez mózg w tej gorączce.

– Żadnego faulu nie było! – O bramkarzu chyba bezwiednie powiedział na głos, bo siedzący obok Jacek z „Echa”, skądinąd sympatyczny i na ogół trzeźwy, od razu zaprotestował.

– Znowu niebiesko-biało-czerwony szaliczek wyjechał ci na oczy, Jacuś.

– Tak się zgrywasz, ale w rzeczywistości sam im kibicujesz.

Na porządną kłótnię obaj byli zbyt zajęci. Zresztą jak miałby mu wytłumaczyć? Owszem, sympatyzował z tymi konkretnymi ludźmi, z którymi spędzał więcej czasu niż z rodziną. Ale kibicować fanatycznie klubowi? Pomińmy fakt, że dziennikarz powinien być obiektywny, bo teraz już prawie nikt się nawet nie stara. Marzena, ich fotoedytorka z Warszawy, opowiadała, jak po zakończeniu meczu w Gelsenkirchen jej sześciolatek synek, siedząc po turecku przed telewizorem, rozbeczał się. Kompletnie się rozkleił, choć wcześniej niespecjalnie się interesował Wisłą, która właśnie wygrała 4:1. A największą zaletą sportu jest właśnie to, że może wywoływać takie emocje i wzruszenia. Zamykać się przed wieloma możliwymi doznaniem, ograniczać tylko do jednego klubu? Absurd!

– Bardzo trudno jest mi orzec, czy to gol, czy nosorożec – zadeklamował Tomek, jego najbliższy kumpel w gazecie,

powszechnie nazywany „Tomciarą”, ze względu na adres mailowy, którego używał.

Maciek przestał uderzać w klawisze, spojrzał na licznik. Sześć tysięcy znaków. W sam raz. Wklepał tytuł: „Ziarnko do ziarnka i zbierze się Miarka”. Żeby jeszcze nic się nie schrzaniło przy łączeniu. Przystawiał telefon do portu podczerwieni laptopa i tak łączył się z internetem, a potem tekst wysyłał mailem. Wystarczyło potrącić blat, odrobinę poruszyć komórkę i połączenie się zrywało.

Na stadionie oddanym do użytku niedługo po śmierci Józefa Stalina brakowało miejsca na wszystko i ludzie z trybuny głównej mieszały się z dziennikarzami, a ci drudzy – z VIP-ami. W kawiarence mogłeś natknąć się na krakowskich aktorów, kabareciarzy, a na schodach wiodących do łoża właściciela: na ministra, prezesa PZPN, albo selekcjonera reprezentacji. I z każdym dało się zrobić wywiad, o ile nie był w kiepskim humorze albo w zbyt dobrym, czyli „trafiony”.

Wypadałoby jeszcze pobierać od wychodzących piłkarzy jakieś wypowiedzi do wykorzystania jutro czy pojutrze. „Dziennikarze dzielą się na dobrych, złych i sportowych” – przyłożył mu na studiach Marek Sobolewski, kiedy Maciek powiedział, że chciałby pisać o piłce nożnej, koszykówce i siatkówce. Powszechny brech. Gość był laureatem nagród, jeździł do Jugosławii, Czeczenii, Afryki, tutaj prowadził warsztaty prasowe na dziennikarskiej poddyplomówce. Zajmująco opowiadał, jak przez kilka dni po powrocie z podróży czeka, aż wrażenia odsieją mu się w głowie, po czym przystępuje do pisania cyklu reportaży. Rzeczywiście świetnych. Ale gdyby musiał przygotować materiały zajmujące całą stronę w niespełna dwie godziny,

w trakcie trwania meczu, który powinien jednocześnie oglądać i opisywać, gdyby trzykrotnie w tym czasie musiał zmieniać wymowę tekstu, bo każdy z wyników stwarzał zupełnie inną sytuację w lidze – dowiedziałby się czegoś o skali trudności tej pracy.

3.

Telefon pierwszy raz zadzwonił, kiedy Maciek był w łazience, piorąc w wannie majtki i skarpetki. Zlekceważył go. Zmobilizował się dzisiaj, bo jutro nie miałby już czego założyć. Jak zawsze w takiej sytuacji pomstował sam na siebie, że nie włączył pralki. Uznał, że to za małe przedsięwzięcie, a teraz męczył się spocony, zgięty wpół, z bolącymi plecami.

Późno zasnął, ale tym razem przynajmniej nie myślał o nieboszczyku. Wracały wczorajsze sytuacje boiskowe, zdania napisane w relacji, fragmenty rozmów. Komórka znowu się rozjazgotowała.

– Wstałeś rano z gorączką?

– Cześć, przepraszam, mógłbyś mi dać numer do Przemka Tomczaka? – To Darek, przysłany na wczorajszy mecz przez warszawską redakcję. Jąkający się, przejęty.

– Jasne, zaraz ci prześlę wizytówkę. Co się stało? Strasznie poruszony jesteś.

– Muszę go przeprosić... Bo wiesz... Ten wywiad, który z nim zrobiłem... Ukazał się w gazecie jako wywiad z Dawidem Miarką...

– Nie rób jaj!

– No tak... Dyktowałem go maszynistce przez telefon, a kiedy skończyłem, dyżurny wziął słuchawkę. Mówię do niego: „Słuchaj, nie złapałem Miarki, za to mam...”, ale

chyba źle mnie zrozumiał. Położył słuchawkę, a tam na początku nie zaznaczyłem, że to rozmowa z Tomczakiem.

– Ale chyba po treści można było się zorientować, że to nie jest wywiad z autorem zwycięskiego gola?

– Nie wiem... No pewnie tak... Jak ja nienawidzę tej wieczornej gonitwy.

– Nie przejmuj się tak, Darek. Parę lat temu byłem redaktorem technicznym i razem z łamaczem puściliśmy do druku gazetę z datą sprzed trzech tygodni. On przekleił starą winietę i zapomniał poprawić daty, a ja tego nie sprawdziłem. W kioskach znalazła się z datą wrześnieową, choć był październik.

– No tak, ale to już anegdota. Jak ja następnym razem Tomczakowi w oczy spojrzę?

– Założysz ciemne okulary. A teraz zadzwoń, wytłumacz. On jest czuły na swoim punkcie i tego, co się o nim pisze, nauczył mnie nawet wyłączać na noc telefon, bo dwa razy zadzwonił o świcie z pretensjami. Z drugiej strony – to inteligentny gość, można się z nim dogadać.

Maciek zastanawiał się też przez chwilę, czy nie pójść na Reymonta, pokręcić się trochę, posiedzieć w klubowej kawiarence, a nuż wpadnie mu do ucha jakiś cynk. Pomyślał jednak: mam to w duszy, na dzisiaj już dosyć. Wsiadł do tramwaju jadącego na Kalwaryjską. Może to metoda, którą powinien doskonalić.

Bursa Jagiellońska. Wierzba płacząca z witkami niemal do ziemi, brzoza, pod nią budka Lotto, a zaraz na rogu balkon pierwszego piętra, z którego kiedyś wpełzali w nocy, żeby portierka nie widziała, że idą do monopolowego. Po trzech flaszkach na pięciu uznali, że mogłaby ich nie wypuścić. Okazało się za to, że nie są w stanie wrócić tą samą

drogą, i trzeba było przedefiniować przed Hanką, która sprawdziła karty identyfikacyjne i nie wpuściła jego oraz Krzyśka, gdyż nie byli mieszkańcami.

Wiele innych imprez jednak się udało, a przynajmniej zostało doprowadzonych do satysfakcjonującego finału. Przypomnił sobie Artura, który mając dwadzieścia parę lat, zachowywał się jak klasyczny alkoholik. Potem zniknął. Rozmawiali o nim na imprezie w Bursie. Ktoś słyszał, że tamten leży już w grobie, coś mu się stało z wątrobą. Maciek spędził wtedy w akademiku noc z piątku na sobotę, a wychodząc następnego dnia przed południem, zobaczył Artka, bladego i chwiejącego się jak zjawą, trzymającego w ręce buteleczkę wódki i rozpaczliwym, zdartym głosem nawołującego jednego z portierów: „Heniiuu! Heniiuuu!”. A choć był śnieg i mróz, spodnie miał upaprane ziemią. Na szczęście serce się Maćkowi nie zatrzymało, był za młody, ale czuł je w gardle.

Dzisiaj na spotkanie wyszło mu samo życie. Karola stała na schodach.

– W tył zwrot, Maciuś. Zobaczyłam cię przez okno. W pokoju nie posiedzimy, Magda uczy się z koleżanką, bo jutro mają kolosa. Zapraszam cię na spacer po malowniczym Dąbiu.

– Chyba żartujesz!

O ile można toczyć gorącą dyskusję, a momentami wręcz kłótnię, szeptem, to im ta sztuka udało się całkiem nieźle. W dwóch tramwajach, a także oczekując na przesiadkę w towarzystwie majtek i biustonoszy pod arkadami naprzeciw Poczty Głównej, Maciek próbował przekonać Karolinę, żeby tego jednak nie robili, a ona upierała się, że powinni. Powinni „obejrzeć dokładniej miejsce, w którym

tyle się wydarzyło”. Wreszcie zaaplikowała mu tekst: „Miano starego pierdziela wywodzi się z mentalności, a nie z metryki” i mógł tylko zgodzić się na wszystko albo wstać i wysiąść samotnie na najbliższym przystanku.

Wkrótce szedł bulwarami Hrabstwa Dąbie za dwudziestoletnią dziewczyną o figurze nieco pulchnej, buzi dziecinnej (z takimiz spinkami-motyłkami we włosach) i woli stalowej. Dróżka to wznosiła się, to opadała pomiędzy Białuchą, kawałek dalej wpływającą do Wisły, a wyglądającym na niewykończony kościołem z czerwonej cegły. Wszystko się zieleniło, na drzewach wyrastało coraz więcej liści. Trawnikiem nachylającym się nad rzeką zbliżali się do „tego miejsca” z przeciwnego kierunku niż kilka dni temu. Zbliżali? Odniośł wrażenie, jakby zaczęli się skradać.

Zaskoczyło go, jak słabo pamięta tę scenę. Czarne metalowe konstrukcje, sprawiające wrażenie pochylonego płotu, stworzonego ze stojących pionowo szyn, połączonych poprzeczkami. Pośrodku coś jakby motorek, pompa? Wtedy, po kilkudniowych deszczach, woda była wyżej niż teraz i dlatego wyrzuciło tu tego nieboszczyka. Gdzieś powiewały kawałki taśmy policyjnej. Karolina brodziła wokół, wyraźnie zafascynowana. Na policzkach miała rumieńce. Jęknął w duchu. Podniósł wzrok i wtedy to zauważył.

– Na co tak patrzysz? – Była już przy nim i spoglądała w tę samą stronę. – Jakaś rzeczka tam wypływa?

– Lepiej dajmy temu spokój.

– A może tego topielca właśnie stamtąd przyniosło?

– Tak jakby go nie słyszała. – Pomyśl, skąd on mógł się wziąć? Pod prąd nie przy płynął i przez zaporę też raczej się nie przedostał.

Przez minimalnie uchylone śluzy opuszczały się cienkie warkocze wody.

Karolina była już nad samym brzegiem i cofała się z biegiem nurtu. Przecież ona zaraz spadnie do wody i nawet tego nie zauważy. Kiedy znalazł się przy niej, akurat mogli zajrzeć w głąb leżącego naprzeciwko kanału, który dalej przechodził w zatoczkę, ale poza jej brzegami niewiele było widać.

– To jeszcze miła przechadzka nad rzeczką opodal krzaczka. – Zdawała sobie sprawę, jaki jest wkurzony, więc dołożyła do tego uśmiech, dla którego zeskoczyłby z tamy. Jakby żarówka zapaliła się jej w głowie, a policzki, oczy i zęby w rozchyłonych ustach emanowały blaskiem.

U podnóża stromych schodków szalał rudy pies. Przeroniony kundel, ale kły, które obnażał, szczekając i warcząc, miał całkiem spore. Na szczęście był zamknięty za siatką odgradzającą teren elektrowni Stopnia Dąbie.

Maciek zaproponował, żeby przeszli w prawo, bo tamten kanał prawdopodobnie należy do przedsiębiorstwa, którego budynku tu widać.

Port Besada – głosił szyld nad bramą. Port! Miłośnikowi kryminałów i powieści przygodowych port bezbłędnie kojarzył się z porachunkami marynarskimi i trupami pływającymi w wodzie. Ale na Wiśle w Krakowie bardzo rzadko pokazywało się coś większego od kajaka i zwykle była to policyjna motorówka lub turystyczny spacerowiec.

Zapatrzył się w zdobienia bramy – czerwone grzebienie u spodu kółka i trzy czarne zęby na jego wierzchu – widoczne na środku każdego boku obu jej skrzydeł. Zamiast jednego z emblematów wisiała tabliczka: *TEREN PRYWATNY. WSTĘP WZBRONIONY.*

– Czyli już wiemy, że ten kanał prowadzi do portu. Spróbujmy podejść wałem i zajrzeć do niego. – Karolina ciągnęła go za łokieć.

Na końcu wzniesienia prowadzącego nad wodą, za kipiącymi chwastami, pokrzywami i dzikimi ostrężynami, czekało ich rozczarowanie, bo nie zobaczyli więcej niż z drugiego brzegu. Trzeba byłoby przedostać się na ograniczający pole widzenia wał, bezpośrednio okalający port, ale on był górą ogrodzony i bardzo stromy.

– Dziwnie wygląda ta sterta. – Palec Karoliny celował w patyki leżące nieco na ukos pod nimi. – Jakby coś pod nią schowano.

– Karola, daj się lubić. Zaczynasz szukać na siłę podejrzanych spraw, żeby usprawiedliwić sens tej wyprawy. Albo ją uatrakcyjnić.

– Że co? Przyszłam tu dobrze się bawić? – W jej głosie słyszał obrazę. Już schodziła ostrożnie, opierając się na dłoniach i stopach.

– Ktoś wycinał jesienią krzaki i tak to zostawił.

– Pfff. Tutaj? Mógł zostawić na górze wału, a w ogóle to powinien je zabrać.

Zdekoncentrowana straciła przyczepność i poczęła zsuwać się na pupie, aż wjechała obiema nogami w stertę. Maciek wzniosł oczy do nieba, ale z dołu doleciał go jej piskliwy okrzyk. Nawet stąd widział zwłoki dużego wilczura i robiący straszne wrażenie pysk wyszczerzony w grymasie agonii.

Nawet nie pamiętał, jak znalazł się przy niej i pomagał wdrapać się na górę. Był nieludzko wkurzony, dopiero po chwili spostrzegł, że brutalnie ciągnie ją za kaptur dresówki. Ale i Karolina chyba tego nie zauważyła. Dopiero gdy stanęli na nogach, zaczęła odzyskiwać rezon.

– Musimy coś z nim zrobić.
– Zabierzemy ze sobą, urządzimy posłanie ze starego koca i będziemy podsuwać jedzenie, licząc, że się ocknie? Do mnie czy do ciebie, do akademika?

– Przestań! Trzeba go jakoś pogrzebać.
– Do wody go nie wrzucimy, a tutaj na wale ziemia jest tak ubita, że do jutra nie wygrzebałbym żadnej dziury. Poza tym to nie nasza rola. Nawet jeśli to nie teren elektrowni, to najbliższy niej. Zgłosimy stróżowi, niech się martwi.

Po serii wstrząsów Karolina potulnie zgadzała się na wszystko, za to tamten rudy kundel był w amoku, rzucał się na ogrodzenie. Tym razem podszedł do niego również zarośnięty facet w kufajce.

– Co tu robicie? Nie wolno tu wchodzić. – Spod daszka czapki bejsbolówki patrzyły na nich nieufnie przekrwione oczy.

– Zabłądziliśmy i znaleźliśmy nieżywego psa, wilczura – odparł Maciej. – Prawie na końcu wału, na dole.

– To dlatego Atos taki niespokojny. Pewnie coś czuje.

Niespokojny. Sztuka eufemizmu kwitnie.

– Dobra, ja się tym zajmę. Zbierajcie się stąd.

– Ale co pan zrobi? – spytała z powątpiewaniem Karolina.

– Załatwię wszystko jak trzeba. Wynocha do domu. Powinienem was wygonić, jak zobaczyłem, że tam lezicie, albo wezwać policjów.

– Skończy się na tym, że ktoś nas zaprosi na kawę do Białego Domku – powiedział ponuro do Karoliny, kiedy szli na przystanek.

– To knajpa?

– Nie, komenda policji.

Poznali się tuż przed świętami Bożego Narodzenia. On wychodził z empiku drzwiami na Sienną, ona wchodziła, więc cofnął się, aby ją przepuścić.

– Wychodzący mają pierwszeństwo. – Zrobiła zapraszającą gest obiema rękami.

– Jestem źle wychowany.

– Ale za to dowcipny.

– Nikt nie ma samych wad.

Roześmiała się, a on na widok jej rozpromienionej twarzy pierwszy raz w życiu zaczęził zupełnie obcą dziewczynę. Przedstawił się (dodając skrzętnie, że jest dziennikarzem, ale tym – jak się później dowiedział – sprawił wrażenie bufona) i spytał, czy nie miałaby ochoty na omówienie podstawowych zasad *savoir vivre*'u przy kawie, lodach lub ciastku. Albo wszystkim naraz. Na chwilę ukryła się za teatralną miną, ze zmarszczonymi brwiami, imitującą głęboką zadumę.

– Wyjeżdżam wkrótce do domu, ale w nowym roku może przydałaby mi się taka wiedza. Mam na imię Karolina, mieszkam w Bursie Jagiellońskiej, studiuje anglistykę. Jeśli faktycznie jesteś dziennikarzem, nie będziesz miał problemów ze znalezieniem mnie. *We-sołych Świąt!* – Pomachała mu i pobiegła schodami na piętro.

Ferie akademickie zaczynały się dopiero za dwa dni. Domyślał się, że to małe kłamstewko służyło sprawdzeniu, czy będzie pamiętał o tym po ponad dwóch tygodniach i czy mu zależy. Na początku stycznia odszukał ją bez trudu. Równie łatwo dogadywali się podczas pierwszego spotkania. Oboje lubili książki, często te same. Uwielbiali Kaczmarskiego, po którego płytę wybrała się wtedy do empiku. Kiedy umarł, urządzili

w Bursie wieczór jego piosenek, granych z magnetofonu, przy świecach i winie, na który poschodziło się do trzyosobowego pokoju chyba dziesięciokrotnie więcej uczestników. A w następnym tygodniu wybrali się na tamten spacer przy tamie na Dąbiu i to był koniec uduchowionej i poetyckiej atmosfery w ich znajomości.

4.

– *Jeżeli zalegalizujemy doping, to ktoś sobie rąbnie jeszcze większą dawkę. Krew mu wytryśnie z ust na oczach stu tysięcy ludzi albo zachowa się w kompletnie nieobliczalny sposób. Poza tym jak miałoby to wyglądać? Wychodzą zawodnicy, za nimi lekarze i każdy bierze zastrzyk dożylnie, a potem start?*

– *Ben Johnson jednak twierdzi: „Walka w Seulu była równa, bo wszyscy byliśmy na dopingu”.*

– *Jak to jest możliwe, że Johnsonowi wykryto, a innym nie?*

– *Może mieli lepszy doping, niewykrywalny.*

– *Jak to?! Johnson był wtedy najlepszym zawodnikiem na świecie i nie miał najlepszego towaru?! Nie mogę w to uwierzyć.*

– *To znaczy, że wierzy pan w czystość sportu?*

– *Nie wierzę, ale nie mogę się zgodzić na zalegalizowany doping. Nie możemy pozwolić, żeby sportowiec był naćpany po same uszy, bo w końcu ktoś ciśnie oszczepem w widzów albo sobie robi krzywdę.*

– *Ilość wpadek dopingowych wśród sportowców sugeruje jednak, że większość jest na koksie.*

– *W rock’n’rollu jest tak samo, tylko że nie ma badań.*

– *Pomaga?*

– *Jak tam komu. Lubię strzelić lufę czy dwie przed występem, ale wydaje mi się, że mocno naćpany zespół nic porządnego nie zagra. Chociaż... Wolalbym nie stawiać aż tak ryzykownych tez...*

Od godziny prowadzili z „Tomciarą” wywiad z Maciejem Maleńczukiem. Piosenkarz sypał żartami, ale mówił z sensem, chwilami bardzo mądrze, często błyskotliwie. Minirecital przez telefon, pomyślał Maciek, kiedy piosenkarz naśladował odliczanie Kaszpirowskiego, objaśniając patent Rosjan na sukcesy w sporcie, zastępujący im doping.

Tyle że teraz czekał ich zapieprz – spisanie tego wszystkiego z dyktafonu, ułożenie wywiadu, obudowanie go „boczkami”, a na koniec telefoniczna autoryzacja. Wieczorem tekst musiał być wysłany do redakcji w Warszawie, aby zdążyli go złamać przed poniedziałkiem, kiedy kolorowy dodatek szedł do druku. Ukazywał się razem z piątkową gazetą.

Raz po raz kursowali z Tomkiem do automatu z kawą, stojącego przed recepcją „Echa”.

– Ile razy mam wam mówić, żebyście nie truli się tą chemią. Połowa tablicy Mendelejewa tu jest – przechwyciła ich w korytarzu najważniejsza przedstawicielka działu wydawniczego.

– Nieważne co, byle sponiewierało.

– Wydajecie się tacy inteligentni i kulturalni, a oglądacie *Kiepskich*.

– Bo jesteśmy bezpretensjonalni. I za to Kochają nas kobiety.

– Nie zaprzeczę.

– Ale teraz musimy zamówić coś niezdrowego do jedzenia i wracać do roboty. Deadline się zbliża.

– Jesteście pierwszymi znanymi mi ludźmi, którzy traktują swoje żołądki jak kosze na śmieci.

– Tia, i podobnie jak śmietniki napęlniamy i opróżniamy je tą samą drogą, czyli od góry.

Kilka lat temu żarcie było pod ręką, w barze-sklepiku przy mieszczącej się w tym samym budynku drukarni. Maciej, kiedy jeszcze był redaktorem technicznym, zaczynał tam nocną szychtę od kupna trzech bułek z białym serem i jajkiem na twardo. Niestety zamknął ich Sanepid, bo klientom zdarzały się sensacje żołądkowe. A wystarczyło tylko zminimalizować ryzyko i nie zamawiać rozmrażanych potraw.

Wieczorem Maciek odbębnił z Maleńczukiem autoryzację wywiadu. Zastanawiał się jeszcze, jak go zatytułować. Najbardziej lubił tytuły łączące lapidarność z wieloznacznością. Nie zbliżył się jednak do ideału, jakim były cudze: „Ciągłe pada” (o bokserze stanowczo zbyt często nokautowanym jak na jego pretensje do sławy), „Ręka Boska” (gdą trener reprezentacji siatkarzy, Ryszard Bosek, zrobił udane zmiany w zwycięskim meczu) i „Defekt nowej miotły”.

Zabierał się za weryfikację niektórych danych z tekstu w internecie, kiedy przyszło mu do głowy, że przecież można by sprawdzić, czy w porcie Besada nic się nie wydarzyło. I od tego zaczął. Stara studencka praktyka zajmowania się wszelkimi duperelami, byle tylko nie wziąć się do nauki. Na gorze listy wyników wyszukiwania, zaraz po jakiejś reklamie, wyświetlił się link do strony „Serwisu Codziennego”:

ARMAND DOPŁYNAŁ

pekuś, 12.04.2004

Ogromna, prawie 60-metrowa holenderska barka Armand dopłynęła w święta z Rotterdamu do Krakowa.

Po drodze zatrzymała się na Kazimierzu, przepłynęła pod Wawelem, a na koniec zacumowała w porcie Besada przy Moście Dębnickim. Tutaj...

Tak to jest, jak się włącza komputer, a wyłącza mózg, mruknął pod adresem nieznanego mu autora. Most Dębnicki jest przy Dębnikach, koło Jubilata, a nie na Dąbiu. Pewnie, chłopie, nie słyszałeś anegdoty o tym starym krakowskim dziennikarzu, który mawiał: „Jestem pewny, że *Pana Tadeusza* napisał Słowacki, ale jeszcze sprawdzę”, więc nie sprawdzasz niczego, co ci dobrze brzmi.

Przestał się wyzłośliwiać do ekranu komputera, bo czuł ni to laskotanie, ni to przemarsze mrówek, raz na plecach, raz w brzuchu. Przecież to się składa w całość z wydarzeniami w okolicy!

Wybudowana w XIX wieku w Rotterdamie barka pływała pod żaglami po Renie. Potem przewoziła ciężkie ładunki już z napędem motorowym. Mierzy pięćdziesiąt trzy metry, jest jedną z trzech najdłuższych w Europie, a w Holandii uwieczniono ją na znaczkach pocztowych. I taki kolos znajduje się w tym porcie?! W którym miejscu, skoro w ogóle go nie widać?!

W ubiegłym roku barkę kupiła jakaś międzynarodowa firma, z pomysłem, że zacumowana w Krakowie będzie pełnić funkcje konferencyjno-kulturalne, a być może posłuży również jako statek pasażerski. Czyli pewnie zostanie restauracją na wodzie...

W holenderskich gazetach ponoć była niezła burza, że sprzedano i wypuszczono z kraju zabytek. Armand całą drogę do Krakowa przebył rzekami, a w porcie Besada, który jest również stoczną remontową, przejdzie kompleksową renowację. No dobra, to skąd ten trup (plus martwy pies)? Ktoś próbował ukraść prawie sześćdziesięciometrową barkę? Bez sensu. Przemyt? Ale kto by przemycił coś przez kilkanaście miesięcy, skoro samochodem można to przewieźć w kilkanaście godzin? Bez sensu. Piszą, że w ładowniach zmieści się ponad pięćset ton. Gdyby przywieźć choć część tego w narkotykach? Nasyciłoby to pewnie rynek na długo i przyniosło fortunę śmiałkom. Ale jak, przecież ta barka na pewno przeszła kontrole, a płynęła też przez Niemcy. Granicy z Unią jeszcze nie otworzyli. Poza tym cała załoga byłaby zblatowana? Nikt by tego nie zauważył? Bez sensu. Teraz już na pewno przejęli ją ci nowi właściciele, a przede wszystkim łązi po niej ekipa remontowa.

Tak rozmyślając, wysłał wywiad do redakcji, machinalnie wyłączał komputer, gasił światło, oddawał klucze w recepcji. Za szlabanem oddzielającym od Lobosu parking obu redakcji i drukarni stał Ford Escort w kolorze, który w cieniu wydawał się wiśniowy. Mężczyzna za kierownicą pólleżał na odchylonym siedzeniu.

W kieszeni zawibrował Maćkowi telefon. Numer dyżurnych z Warszawy. Czego oni mogą chcieć o tej porze? Coś nie tak z wywiadem?

– Cześć, cześć, Maciek. Przepraszam, że zawracam ci głowę o tej porze, ale nie mogę dodzwonić się do Piotrka Gromka, a mamy tu spory kłopot – z wyraźnym onieśmieleniem potykał się na przecinkach Marek Gurgul, redaktor z nowej ekipy. – Potrzebujemy w ciągu

kilkudziesięciu minut, góra godziny, tekstu o Wiśle. Takiego na trzy, cztery tysiące znaków, do niego dopasujemy symboliczne zdjęcie.

– Zwariowałeś!? – odruchowo krzyknął do słuchawki.

– Jest po dziesiątej, jak ja ci o tej porze zbiorę materiał na tekst? Zakładając, że będę miał jego temat, bo złapałeś mnie w rozkroku i, o dziwo, nic mi nie przychodzi do głowy.

– Maciek, no, bardzo cię proszę. Mamy tu awarię. Aż wstyd się przyznać, nie mów nikomu, ale okazało się, że ta sama reklama jest na stronie ogólnej i na stronie mutowanej na południe Polski. No, i trzeba wyrzucić właśnie ją, bo tam już nic nie zmienimy, nie do końca to zresztą rozumiem, więc nie będę ci tłumaczył.

– Tylko jak ja ci urodzę o tej porze jakiś sensowny kawałek? Cały dzień zasuwałem przy wywiadzie z Maleńczukiem i w tej chwili już nawet dwóch myśli nie mogę naraz zebrać w głowie.

– Napisz coś, proszę, najlepiej o Wiśle. Cokolwiek. Na przykład jakąś analizę.

Zawracając, uświadomił sobie, że mężczyzna w Fordzie zrezygnował z leniwej pozy i już od dłuższej chwili obserwuje bacznie jego zachowanie.

5.

Stali na moście i udawali to, czym w rzeczywistości byli. Zakochanych. No, ja już wypełniam prawie całą definicję, a przynajmniej główne warunki, pomyślał refleksyjnie. Robię wszystko, co moja pani rozkaże. Któregoś dnia zwierzyła się, że wstydzi się tamtej słabości po znalezieniu topielca i teraz chce udowodnić samej sobie, że nie jest głupią beksą. O podobne odczucia podejrzewałyby raczej

faceta... Kiedyś uważał, że kobiety są w istocie nieskomplikowane, co przykrywają zręczną mistyfikacją, dzięki czemu uchodzą za trudne do zrozumienia. Jak każdy teoretyk potrafił to szeroko uzasadnić, lecz żadna z późniejszych prób bliższego poznania przedmiotu badań nie potwierdziła tamtej tezy. Teraz natomiast uznał, że tak głupi, jak w czasach liceum, nie był nigdy.

Z naprzeciwnika mrugały do nich czerwone światełka kominów elektrociepłowni w Łęgu.

Karolina przekonywała go, że warto sprawdzić, jak z bliska wygląda ta barka i co dzieje się w porcie. „Może to nam podsunie wyjaśnienie tej historii”. W niej wszystko było pełne: figura, uśmiech, optymizm.

Według najlepszych wzorów z powieści przygodowych dla nastolatków ubrali się na czarno, mieli buty na gumowej podeszwie, w plecaczkach latarki, kilkumetrowy kawał liny, cienkie, ale mocne lateksowe rękawiczki, a Karola wynalazła u kogoś w akademiku drabinkę sznurową z dwoma hakami na końcu. To ona stanowiła najważniejszy rekwizyt w planie wejścia na teren stoczni. Była druga w nocy z soboty na niedzielę, pora wybrana równie starannie jak wyposażenie. Założyli, że zminimalizują ryzyko przypadkowych spotkań, bo nawet jeśli ktoś się przypałęta, będzie to wracający do domu pijany imprezowicz. Nie brali pod uwagę portiera z Besady, który nie potrzebował soboty ani nocy, żeby sobie potężnie łyknąć i rozpląnąć się w alkoholu. Obchody robił z rzadka, nawet kiedy był trzeźwy, psa nie było widać. To chyba ten biedny wilczur był wcześniej ich pracownikiem.

Przez cały mijający tydzień obserwowali stocznię. Wpadli wreszcie na oczywisty pomysł, żeby zajść nad zatokę portową od strony ulicy Nowohuckiej. A tam – bingo!

Długi, czarny, niski kształt z nieco wyższą nadbudówką, do połowy białą, a dalej w brązowym kolorze drewna. Wznosiły się nad nią płaskie niebieskie namioty. Barka spoczywała na kilku wózkach-kratownicach, wciągnięta bokiem po szynach kilkanaście metrów wzwyż pochyłego brzegu. To dlatego nic nie było widać od strony Wisły. Niestety, tędy też nie można było dostać się na teren portu, bo nad brzeg zatoczki schodził wysoki płot, najeżony ostrymi kolcami.

Rozczarowani, powędrowali wtedy w rozległe chaszczce nad Wisłą, gdzie miała rozlewać się woda w razie powodzi, potem wspięli się na wał, który tutaj był oddalony o kilkadziesiąt metrów od rzeki, aż przy ogródkach działkowych dotarli do Nowohuckiej, prawie w Łęgu. Zdawał sobie jasno sprawę, że ówczesna frustracja była bezpośrednim powodem dzisiejszej wyprawy.

Przez kilka wieczorów, siedząc w samochodzie zaparkowanym niedaleko, pod wiaduktem, monitorował główną bramę Besady i ogrodzenie sąsiadujące z budynkiem biurowym. Raz przyszło mu do głowy, że facet w Escorcie mógł wtedy robić dokładnie to samo. Ale kogo by śledził? Jego?!

Ominęli schodki za mostem, żeby nie drażnić obłąkanego rudego psa. Zeszli dopiero na końcu wiaduktu. Ogrodzenie Besady wydawało się nie do sforsowania ze względu na te sterzące ostrza, za to już wcześniej zauważyli z góry, że dużo bardziej przyjazny jest płot oddzielający port od przedsiębiorstwa przeróbki drewna. Murowany, z wygodną, płaską, dwudziestocentymetrową powierzchnią na szczycie i z prostokątnymi okienkami pół metra pod nim.

Najtrudniejszy był pierwszy odcinek – teren tej firmy od drewna. Na szczęście nie mieli psa, za to dozorca co jakiś czas robił obchód, a wyglądał, jakby rozgrzewał się wyłącz- nie herbatą. Maciek wspiął się po drabince na ogrodzenie z blachy falistej, wystawiając tylko głowę.

– Ja cię kręcę, co za pech!

Facet właśnie wychodził ze swojej budki. Maciej zesko- czył szybko, ale na ściągnięcie drabinki nie było już czasu. Obserwował tamtego w szczelinie pomiędzy płytami.

– Idzie tu? – Karolina z przejęciem poświstywała mu w ucho.

– Tak, cicho.

Wstrzymał oddech. Może nawet lepiej się złożyło, bo starszy pan podrepcze potem gdzieś dalej i tak szybko tu- taj nie wróci. Nie zaskoczy ich znienacka. Żeby tylko nie zauważył drabinki. Niepotrzebnie się obawiali, bo dora- biający stróżowaniem emeryt ciężko szurał nogami, a robił to ze zwieszoną głową. Zawrócił i skierował się w prawo, w głąb przedsiębiorstwa.

Oni mieli tylko pięćdziesiąt metrów do przebycia i po chwili już zarzucali drabinkę na płot Besady.

Zeskakując, zrobił kilka kroków i uderzył piszczelem o płytki chodnikowe, nie wiadomo dlaczego leżące w tym miejscu. O mało nie odgryzł sobie języka, bo otworzył usta do krzyku i szybko zamknął, żeby nie krzyknąć. Usiadł na ziemi i kołysał się, trzymając oburącz za nogę. Co ja robię, przecież to jest jakiś krwawy absurd, pomyślał, zgrzytając zębami. A wydawało mi się, że to pracę mam stresującą.

Przez cały tydzień zasuwali, przygotowując materiały przed meczem Wisła – Legia, który jutro mógł praktycznie rozstrzygnąć o mistrzostwie, ale teraz chętnie by do tego wrócił i zrobił dwa razy więcej. Zresztą już wieczorami,

udając pozał-się-Boże-detektywa, czuł, że opuszcza przytulny, wygodny kokon, wchodząc do świata abstrakcyjnego, lecz jednocześnie niebezpiecznego.

Jeszcze przedwczoraj, koło południa, siedzieli z „Tomciarą” i Zbigniewem Korzonkiem przy stoliku na Placu Nowym. Pili kawę, gadali. Wokół było puściutko, nawet na kramach nikt nie handlował. Raz tylko przemknęła grupka wagarowiczów z pobliskiego liceum. Aż zaczął sobie wyobrażać, że za chwilę pojawią się ci wszyscy melancholijni kupcy, którzy mieszkali tu przed wojną. No i ten Zbyszek, który wydawał się gburowaty lub przynajmniej opryskliwy, a okazał się bardzo otwarty i sympatyczny. Nie wkurzył się nawet, kiedy na końcu spytali o plotki o „kurierze z Warszawy”, który miał przywieźć walizkę z pieniędzmi przed niesławnym o:6 Wisły z Legią. „Zastanawiałem się, kiedy poruszyście ten temat. Gdybyście od niego zaczęli, nie byłoby rozmowy. Może kiedyś opowiem o tym albo i książkę wydam, bo wersji już było sto, a prawdziwej żadnej” – skwitował.

Tamtego dnia Maciej pierwszy raz spotkał kogoś, kto uratował ludzkie życie – Korzonek razem z masażystami Wisły reanimowali chłopca, który nagle stracił przytomność na zajęciach. A dzisiaj po raz pierwszy włamał się do cudzej posiadłości.

Karolina chyba wyczuła jego nastrój. Uznała, że pocieszenie może sprowokować Maćka do odwrotu, więc tylko klepnęła go w łopatkę: – To jak, będziesz żył? Możemy iść dalej?

Pokuśtykał za nią obrażony. Przecież mógł mieć pękniętą kość!

Zabezpieczenia, poza płotami, mieli tu pierwsza klasa. Okręgowa. Nie natknęli się też na więcej pułapek w rodzaju płytek. W świetle latarek, które zapalili, bo lampy

najwyraźniej przeszły w stan spoczynku, a księżyc też spędzał sobotnią noc na domówce, zobaczyli tylko pryzmę porządnie ułożonych blach. Za nie popchnął Karolinę, kiedy z przodu usłyszeli jakiś dziwny plusk. To raczej nie ryba, za głośne. Dochodziło do nich też dużo cichsze chlupotanie, jakby dzieciak bił dłońmi o wodę w wannie. Tyle że bez śmiechów i krzyków.

– To w zatoczce, kawałek od nas, możemy podejść bliżej. Jeśli nawet ktoś tam jest, nie zobaczy nas, bo między nami a wodą stoi barka – wyszeptał i teraz to on ruszył pierwszy, mijając po prawej stronie dwa budyneczki, a trzeci, większy, zostawiając kilkanaście metrów po lewej. Już zapomniał o bólu. Dobięgli do widocznego zewsząd wysokiego żurawia z długim wysięgnikiem, a za nim wyrosła bryła – długa i ciemna, ale zaskakująco niska. Zrozumiał, że barka musi stać w obniżeniu terenu i zatrzymał się gwałtownie, ciągnąc też za ramię Karolinę.

– Ała! Zwariowałaś, co ty wyprawiasz? – W tej chwili i ona zobaczyła, że mogli spaść kilka metrów w dół. Armand stał przy platformie, dzięki której dostęp na pokład był ułatwiony, ale żeby znaleźć się przy dnie, należało zejść po metalowych schodkach.

Już na dole ostrożnie wysunęli głowy zza szpiczastego dziobu. Maciek najpierw przeskanował pustą zatokę, po której przesunęły się drobne fale, a gdy podniósł wzrok na drugi brzeg, wydawało mu się, że w blasku księżycy znikają tam cienie i poruszają się gałęzie jednego z drzew.

– Spójrz tam. – Szarpał ją za ramię, jednocześnie wskazując kierunek. – Widziałaś?

– Nie, patrzyłam na wodę, ale to chyba tylko wiatr wywołuje te fale.

No tak, może to tylko wiatr.

– To co, zarzucimy tu drabinkę? – spytała.

– A może wrócimy schodkami na górę i wtedy wystarczy tylko podnieść nogę?

– No racja, przełączyłam się na tryb oszczędzania mózgu – zachichotała z zawstydzeniem.

Niebieskie namioty, które widział parę dni temu z drugiego brzegu, to były brezentowe płachty. Szarpiąc we dwójkę, odczepili jedną z mocujących je klamer. Kiedy podwinęli brezent i poświecili latarkami za krawędź, okazało się, że zakrywają olbrzymie, ciągnące się daleko ładownie. W ich czeluściach, wszędzie, gdzie docierał promień światła, widać było tylko pustą podłogę.

– Zdejmiemy to jeszcze w innym miejscu i zajrzemy? – spytała Karola.

– Sądzisz, że ktoś położył cokolwiek w tak wielkiej pustej przestrzeni? Od razu by zostało znalezione. Ta baraka płynęła do Polski bez ładunku.

– Dobra, to chodźmy obejrzyć baraczki.

Przy dziobie majaczył niski czarny kształt, z dwoma okrągłymi okienkami zasłoniętymi od wewnątrz i jedynymi zamkniętymi na głucho drzwiami. Odkrywcę z nas, jak z nosa dubeltówka, nawet włamać się porządnie nie potrafimy, myślał, gdy wędrowali na rufę, gdzie wznosiła się dwukondygnacyjna nadbudówka.

Karolina nacisnęła klamkę, a drzwi się otworzyły.

Gapili się na siebie z otwartymi ustami. Weszli do środka. Długi stół, przy ścianach szafka, krzesła, jeden fotel. Trochę przyrządów niezrozumiałego przeznaczenia. Karolina pociągała kolejno za szuflady i drzwiczki w szafkach. Pusta, pusta, pusta. W najbardziej wyróżniającej się, zdobnej w fantazyjne, rzeźbione zawijasy, leżała niewielka paczuszka – zafolowana, oklejona ściśle szeroką, beżową taśmą.

– Kurde, co to może być? – Wzięła ją do ręki.

– Ja bym raczej spytał, dlaczego to akurat tutaj leży i dlaczego w wysprzątanym do czysta szafkach zostało tylko to.

Usłyszeli odgłosy hamowania, a pomieszczenie wypełniło się migającym niebieskim światłem.

Rzucili się do okien. Na placu z samochodów policyjnych – osobowego i furgonetki – wyskakiwali gliniarze, dwóch wyciągało na smyczy psy.

Serce mu łomotało, a ruchy paraliżował strach. Pode-rwał go szloch Karoli, która otworzyła szarpnięciem drzwi i wybiegła na platformę. Na tyle oprzytomniał, żeby wrzasnąć do niej: „wyrzuć to, do cholery!”, ale i tak zgubiła pakunek, zbiegając po schodkach. Znaleźli się na pochylni schodzącej do wody. Wilczury były tuż za nimi. Znowu ogarnęła go panika, bał się psów od dziecka, odkąd mały, ujadający kundelek dziabnął go w łydkę.

– Chodź! Tam! – Pociągnął ją do zbudowanej z kratownicy i zwieńczonej budką wieżyczki. Wspięli się szybko kilka metrów. Psy były pod spodem. Nie mogły ich ugryźć, oni nie mogli nigdzie się ruszyć.

– Znowu się widzimy. Ale dzisiaj to już pogwarzymy sobie bez pieprzenia się w koniczynie. – Mateusz Jesionek zadzierał do góry uśmiechniętą twarz. – Założenia są takie: my bierzemy psy na smycz, wy grzecznie schodzicie, my nie spuszczaemy już psów, a wy idziecie prosto do samochodu bez żadnych numerów.

Drugi raz w suce w tym miesiącu, myślał Maciej, to o dwa więcej niż przez ostatnich dwadzieścia siedem lat. Wisielczy humor szybko jednak mu minął.

– Panie starszy aspirancie! Panie starszy aspirancie! W tym pakunku, który wyrzucili jest chyba śnieg! Śnieg!

– Młody policjant, który przybiegł za nimi, był tak pod-
ekscytowany, że głos mu się wznosił do pisku. – Paczka się
rozdarła, jak ją wyrzucili, rozsypało się. Zenek wziął trosz-
kę na język i mówi, że to musi być śnieg!

– Morda krótko! – Jesionek też stracił swój luzacki styl.

– Mielicie zabezpieczyć dowody rzeczowe, a nie zażywać
kokainę i oznajmiać o tym całemu Dąbiu.

No to ekstra, za piętnaście godzin mecz z Legią. Może
nawet nie wyrzuciliby go z redakcji za samą nieobecność,
ale jak okaże się, że przesiedział ten czas w areszcie, to do-
stanie dyscyplinarkę. Nawet nie pomyślał, że jeśli oskarżą
go o posiadanie takiej ilości narkotyków, brak pracy nie
będzie jego największym zmartwieniem.

– Ale to nie nasze! Znale... – urwał, kiedy Karolina przy-
deptała mu stopę.

– O czym tamten pan mówi? Przecież my nie mieliśmy
ze sobą żadnej paczki. Przyszliśmy tu z plecakami, które
przed chwilą sprawdziliście. Chyba nie wolno rzucać ta-
kich oskarżeń bezpodstawnie? – Opanowana i chłodna,
patrzyła wprost na Mateusza.

KWIECIEŃ 2016

1.

Makijaż oczu mógłby być. Rzeczywiście, wydają się nieco większe, jak na tym filmiku instruktażowym na YouTube. To jeszcze trochę szminki. Skoro się słabo gra, trzeba przynajmniej dobrze wyglądać, jak to Bożka mawia. Ale mnie tapeta nie pomoże, pomyślała.

– Aga, ogarnij się, wyłaż stamtąd!! Ludzie mają potrzeby przed meczem! – Monika musiała być wkurzona, bo waliła w drzwi łazienki pięścią. Agnieszka wróciła do szatni, dopiła kawę. Nawet zimna była dobra. Wyrzuciła do śmieci pusty kubeczek i opakowanie z batonika, a zakładając nakolanniki i buty, powtórzyła sobie, czego najbardziej nienawidzi w swojej twarzy. Za duże uszy, nos z garbkiem pośrodku i zadartym końcem, nierówne zęby. No i te cholerne piegi.

– Aż takich krótkich włosów nie rób. Przynajmniej doład. – Tu zdjęcie z wojska, mundur jednak robi swoje. – On nie jest zbyt ładny, ale strasznie fajny.

Dolatywały ją strzępki rozmów, plus zwyczajowa porcja śmieszkowania. Gdyby trener Roman Nosowski wiedział, jak na ogół mobilizują się w szatni przed meczem, dostałby piany.

– No, dziewczuszki, wychodzimy na rozgrzewkę. – Bożena jako kapitan miała za zadanie pilnować porządku.

Rytuał ćwiczeń rozciągających, odbijanie w parach, wreszcie siatka i atak. Na stromej trybunie hali przy Kalwaryjskiej przybywało widzów. Zwłaszcza mężczyzn, lubiących, niezależnie od wieku, popatrzeć na ładne, młode laski. Chcą zobaczyć, jak przegrywamy, przemknęło przez głowę Agnieszce.

– Witam państwa na meczu naszych Księżniczek, które czeka wielki bój o awans do finału pierwszej ligi siatkarek!

Naszym przeciwnikiem jest niezwykle twardy Metalowiec Toruń, ale drużyna Princess Kraków może skruszyć go nawet samym uśmiechem! – Spiker nie potrzebował się rozgrzewać.

– Chciałabym zobaczyć, co on bierze – mruknęła stojąca za nią w kolejce Monika.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby świrował tak na czysto. Wystarczy mu, że bierze do ręki mikrofon – odparła Aga i obie parsknęły śmiechem. W zimie na jeden z meczów przyjechali rodzice, a tata – po tym, jak tamten dał się w trakcie meczu – żartował, że spikerka nieodparcie kojarzy mu się ze sceną udawanego orgazmu Meg Ryan w *Kiedy Harry poznał Sally*. Z ciekawości obejrzała film i stwierdziła, że Meg była jednak bardziej naturalna.

Metalowiec prowadził w play off 2:1, musiały wygrać dzisiaj i za parę dni w Toruniu. Jeśli się nie uda, to koniec sezonu i nie wiadomo, co dalej z klubem.

– Wychodzimy tak jak w poprzednich meczach. Pamiętajcie: serwujemy na Bystrowską. Troszku zagryweczki, troszku bloczku i żeby było sympatycznie. – Starszy pan powtarzał ten tekst od lat, ale zawsze je nim rozbawiał. Luz skończył się jednak szybko: Agnieszka raz przyjęła w trybuny, raz w ogóle, w ataku walnęła w aut. – Rany Boskie Święte, odbierz tę piłkę, na nogach się ugnij! – wściekał się „Nosacz”.

Tamte zagrywały prawie wyłącznie w jej strefę, Aga podbijała to nad siebie, więc ganiająca po boisku Bożena mogła wystawić tylko do niej. Nie zdobyła ani jednego punktu. – Nie no, nie no, nie... Przecież ciągniesz tę rękę jak kulawy nogę! – indyczył się trener, kiedy rozbila się o blok. Wziął czas.

– Szlag mnie zaraz z tobą trafi, no! Stoisz na boisku jak ten baran i zresz trawę! Skup się, przyjmij dokładnie. Na

siatce uderz pół metra od linii bocznej, w ten sposób zahaczysz o blok. Młodziczkom to mówię i one rozumieją. – Jego żelazny repertuar akurat dzisiaj był usprawiedliwiony, bo na tablicy świeciło się już 5:15.

Po przerwie Agnieszka odebrała łatwy serwis na palce, ale na koniec wymiany nie zamknęła nadgarstka i walnęła nad rękami Torunianek w ścianę, usytuowaną niedaleko za linią końcową.

– Za kogo ty się masz!?! Nie jesteś gwiazdą, jesteś szarą zawodniczką! – wrzeszczał na nią, kiedy schodziła z parkietu po zmianie. Nie przybiła mu piątki, trzepnęła tabliczkę z numerem za ławkę. – Jutro oddajesz wszystkie koszulki i dres! Bo my tak się bawić nie będziemy... – polecało za nią do kwadratu rezerwowych.

Już chyba czwarty raz wyrzucał ją z klubu. Kiedyś rzeczywiście przyniosła sprzęt, a wtedy powiedział: „No, nie wygłupiaj się, trochę mnie poniosło”. I sprawiał wrażenie, jakby uważał, że to wszystko załatwia. Ale jaki masz start do wyjaśniającej rozmowy z facetem, który jest prawie czterdzieści lat starszy od ciebie i któremu tyle zawdzięczasz? Ściągnął ją z Łańcuta, u niego uczyła się grać najpierw w drugiej, a potem w pierwszej lidze.

Zresztą przez dwa lata, gdy miały innych trenerów, zrozumiała, że trzeba szanować oswojonego choleryka, który na co dzień jest sympatycznym wujaszkiem, a siatkówkę zna na wylot. Najpierw przyszedł do nich Sebastian Kalicki – oblech rozbierający je wzrokiem. Nagrywał część ćwiczeń kamerą wideo, niby w celu późniejszego demonstrowania, jakie robią błędy. Podczas projekcji pomylił sobie płytki i okazało się, że na tej są głównie ujęcia ich tyłków i biustów. Niektórym dziewczynom się podobał, więc

sprawa się jakoś rozmyła, aż do afery z Moniką. Kalicki pchał się do ćwiczeń z nimi. W jednej z gierki trzy na trzy Monia krzyknęła do niego: „Bierz!”, ten się przewrócił, ale nie zdążył do piłki. Wstał czerwony, złapał ją za kucyk i wycedził: „Po zajęciach możesz mi nawet loda zrobić, ale tutaj to ja jestem dla ciebie pan trener”. Już wcześniej rzucał teksty w stylu: „Do Mediolanu z takim ryjem nie zajedziesz”, a dyskusje przerywał hasłem: „Mordy w kubel i wylazić na parkiet”.

Zagroziły prezesowi strajkiem, jeśli nie zwolni tego chama, a kiedy twierdził, że obowiązuja je kontrakty – upublicznieniem sprawy. Niestety, za Kalickiego przysła w trakcie sezonu mniejsza świnią, za to większy pajac. Michał Dąbrowski uważał się za cudo, bo przez trzydzieści parę lat przekonywała go o tym mamusia i kolejne dziewczyny. Zawsze pozował na straszego macho, ale co rusz okazywało się to podszyte histerią. Przegrały mecz w Łomży, od paru tygodni nie potrafił wyrwać ich z marazmu. W autokarze powiedział: „Jutrzejszy trening jest nieobowiązkowy, ale jeśli choć jedna nie przyjdzie, to podam się do dymisji, bo uznam to za wotum nieufności”. Nie poszła żadna, głównie chyba z ciekawości, co tamten robi. A tu się okazało, że Michaszek jest miękki, bo kolejnego dnia stwierdził, że to była tylko podpucha dla sprawdzenia, czy drużyna jest skonsolidowana.

Gryząc końcówkę warkocza, który zawsze zaplatała na mecz, obserwowała, jak dziewczyny dostają równie dotkliwy łomot, co przed jej zejściem. Drugi set poleciał, tylko jeden został do końca sezonu. Maryśka narzekala na kolano. Zawsze bolało ją bardziej, gdy przegrywały. Nosowski był obrażony na cały świat, z nimi na czele. – Jak

nie możesz wytrzymać, to się zmieńcie. – Wpisał numer Agi do karteczki z ustawieniem dla sędziego i usiadł na krzeselku.

Zrobiła parę wymachów i ustawiła się na pozycji do przyjęcia, znowu zaczynała w pierwszej linii. Bystrowska coś pokazywała ku niej palcami. Zawsze była zaczepna i głupia, a jej ksywę, Bystra, dziewczyny wymawiały z ironicznym akcentem. Ktoś zrobił nawet na FB serię memów o niej, wykorzystujących dowcipy o blondynkach. Największa beka była z: „Jak Bystra zdobywa dżem? – Obiera pączki”. Sędzia zauważył jej zachowanie i zawołał do siebie kapitana Metalowca, zwałistą i poczciwą Sowę, żeby przekazać upomnienie.

– Hej, laseczki, gramy jeszcze! Ogień! – Bożena skupiła je w kółeczku.

A tu nagle – huups!! Potworny huk. Leży zbudowana z rurek platforma, obok niej Sowa, dalej krzyczący i zwijający się z bólu sędzia. Zbiegły się wszystkie. Sowa trzymała się za kolano, ale nawet nie jęczała, więc raczej nic poważnego jej się nie stało, za to arbiter darł się tak, że musiał złamać prawą rękę, którą przyciskał teraz do tułowia.

– Proszę, żeby drużyny rozeszły się do swoich ławek.
– Drugi sędzia odganiał je, podczas gdy ratownik medyczny pochylał się nad pierwszym, a maser i trenerzy Metalowca – nad Sową.

– Co się właściwie stało?

– Ja widziałam! Ja widziałam! Sowa wyszła na trzeci stopień tej wieżyczki i złapała za barierkę, którą sędzia zamyka za sobą – rozemocjonowana Weronika, ich druga rozgrywająca, połykała końcówki wyrazów. – I ta barierka się otworzyła, i ona poleciała do tyłu, ale cały czas trzymała tę metalową rurkę, i pociągnęła wieżyczkę za sobą. Dobrze,

że w końcu puściła barierkę i okręciła się w powietrzu, bo to wszystko razem z sędzią spadłoby na nią.

Kontuzjowany arbiter siedział na krzeselku pod ścianą, czuł się już chyba lepiej. Obok trwały jakieś dyskusje, dołączyło dwóch facetów, którzy zeszli z trybuny. Jeden gwizdał bodaj Plus Ligę, widywała go w telewizji. Bożena jako kapitan poszła się dowiedzieć, co się dzieje.

– Jeszcze chwilę poczekają i wznowią mecz. Może tamten lepiej się poczuje, bo jest szansa, że nie złamał ręki. Jeśli nie, to zastąpi go drugi sędzia. A drugiego mógłby zastąpić ten, co przyszedł, tylko nie ma stroju – relacjonowała.

– Dobra, grzać się dziewczyny – wypędził je na parkiet Nosowski.

Przez te wszystkie tragikomiczne wydarzenia wyczyściły sobie głowy, z tamtych chyba zeszła koncentracja. Agnieszka natomiast przeżyła wręcz iluminację. Piłka sama odbijała się od niej w przyjęciu i obronie, a w ataku skakała niczym rudowłosa siatkarka z japońskiej bajki, którą trenująca siatkówkę siostra Ola podsunęła jej na kasecie wideo. I Aga, choć zawsze bardziej interesowała się futbolem, zapisała się na zajęcia siatkarskie do MKS, idąc bardziej śladem właśnie You, Kibi, Nami i Eri niż siostry.

Wygrały dwa sety, w tie-breaku tamte stawały się mocniej. Miała jednak to wrażenie pewności, jakby transu, które czasem ją nawiedzało. Sala robiła się ciasna, a ona wyczuwała wszelkie odległości i płaszczyzny.

– Bozia, dawaj wszystko do mnie – szepnęła do przyjaciółki, po przerwie, którą wziął „Nosacz”, kiedy straciły trzy punkty z rzędu i zrobiło się 11:11. Jej ulubiona rozgrywająca rzeczywiście poszła do niej cztery wystawy; ostatnią wymuszoną, zupełnie byle jaką, na piąty metr, ale Aga trafiła w linię boczną. Euforia.

– Można porozmawiać z bohaterką spotkania? – Podszedł do niej jakiś gość z notatnikiem. Wysoki, w trudnym do określenia wieku. Przyjemny, „radiowy” głos, ładne oczy, choć nie przystojniak.

– Bohaterka tym razem nie przyszła. To sędzia z Sową odwrócili mecz – odparowała. Niekiedy trudno jej było wytłumaczyć nawet sobie, dlaczego reagowała kpinkami na sympatyczne zachowania ludzi.

– Z perspektywy trybun inaczej to wyglądało. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Jestem Maciej Porzyński z „Echa Małopolski”. To znaczy z „Kuriera Krakowskiego”.

– Nie jest pan pewien?!

– Jestem pewny, że nie jestem pan. Proszę mi mówić Maciek.

Akurat, od razu, pomyślała. A głośno spytała: – To jak z tą gazetą?

– To jedno i to samo. Dwa tytuły, w większości ta sama treść w trochę różniącej się szacie graficznej. A ja jestem u nich redaktorem sportowego serwisu internetowego, przyszedłem na mecz w zastępstwie. Mam szczęście dzisiaj.

2.

Poszły na zwycięskie piwo do Introligatorni położonej niedaleko hali, przy Kładce Bernatka, ale większość dziewczyn szybko się wykruszyła. Monika namówiła Agnieszkę i Bożenę na drugą rundę w Lokalu za rogiem, gdzie była kelnerką i miała zniżki. Normalnie ciężko tu było o miejsce, ale po północy z niedzieli na poniedziałek zrobiło się luźno. Siedziały przed swoimi Somersby, przy oknie na Stolarską. Monia to była fajna, szczerza

dziewczyna, ale w zbyt dużych dawkach robiła się niestrawna. Niesłowna, zmieniała zdanie albo zapominała o obietnicach. Nawet na wizytę w tej knajpie umawiała się z nimi już dwukrotnie w ciągu trzech miesięcy, od kiedy zaczęła tu pracę (co jak na nią i tak było znaczącym okresem zatrudnienia, a niewiele dłuższe staże miała na trzech kierunkach rozpoczynanych i porzucanych studiów). No i ciągle przydarzały się jej absurdalne bądź dramatyczne przygody miłosne. „Czy ona jest zboczona, czy zdesperowana, że łapie się za takie egzemplarze?” – rzuciła kiedyś zirytowana Bożka.

– Mój były nie może się pogodzić, że już nie chcę spotykać się z nim, nęka mnie SMS-ami, a trzy tygodnie temu, w sobotę, napadł na mnie i interweniowała policja – opowiadała Monika z przejęciem. – Poszłam w następny poniedziałek na komisariat, założyłam sprawę i w sumie od tamtej pory już się do mnie nie odzywa. Pewnie kazali mu się ustosunkować do moich zeznań i się posrał, biedaczek.

– To ten gość, który przychodził po ciebie na treningi w styczniu i lutym? – Aga uznała, że trzeba okazać zainteresowanie koleżance, która ma tak traumatyczne przeżycia za sobą.

– Tak, to ten. Ojciec w więzieniu, synek studiował chwilę, ale przerwał i teraz stoi w weekendy na bramkach w klubach przy Rynku. Tam mnie zresztą złapał. Przewalone, wdepnęłam w straszne gówno i żadnej dziewczynie tego nie życzę. Jak można być z osobą, która używa siły wobec słabszego. Ja właśnie w takim związku tkwiłam, niestety, jednak postanowiłam zawałczyć o siebie i nie dać się zastraszyć, więc wyłądownałam na policji...

– I tak dobrze się skończyło. Ciesz się, że jeszcze żyjesz, bo są takie, które nie miały tyle szczęścia. – Bożka przerwała wywód, widząc, że Monia zaczyna już kręcić się w kółko. – Słyszałyście, że w Krakowie giną kobiety w niewyjaśnionych okolicznościach?

– Skąd ty wiesz takie rzeczy?! – zdziwiła się Aga.

– A bo niedawno zarywał mnie w dyskotecę policjant z kryminalnej. Nie dość, że twardziel, to jeszcze słodziak. Opowiadał właśnie takie historie.

– No i co?

– Cierpi na odwieczny problem wszystkich ciekawych facetów. Jest żonaty.

– Standard. Ale co z tymi zaginięciami?

– Pod koniec lat dziewięćdziesiątych wyłowili z Wisły skórę i nogę dziewczyny, która zaginęła pół roku wcześniej. I do dzisiaj nie znaleźli reszty.

– Nie strasz!

– Możecie sobie sprawdzić, pisali o tym w necie. Policja ma rozkminy, czy ciągle nie działa ten sam morderca. Albo jakiś inny. Bo kolejną dziewczynę znaleźli parę miesięcy temu na wale, pod mostem kolejowym, niedaleko Krakowskiej Akademii. Miała szyję okręconą drutem.

– Skąd się biorą tacy porąbani goście?! – Monika pociągnęła nosem.

– Spytaj raczej, gdzie są w tej chwili?

– Perfekcyjne podsumowanie w momencie, gdy każda z nas będzie po północy sama wracać do domu...

– Nie przesadzaj, Aga, cała brygada ludzi pojedzie teraz nocnym, a z przystanku masz blisko. Tak samo jest z Monią i ze mną. Powiedz lepiej, kim jest ten dziennikarz, który cię zaczepiał po meczu. Całkiem niezły.

- Bo ja wiem, czy niezły? Dosyć miły.
- Gapił się na ciebie, jakby chciał cię schrupać – uśmiechnęła się porozumiewawczo Bożka.
- Mnie przypomina tego dietetyka, którego „Nosacz” przyprowadził dwa tygodnie temu na trening – odezwała się Monika. – Nie było cię, Aga, bo miałaś coś na studiach. Co się tak zamyśliłaś?
- A uwaga Agnieszki, sprowokowana tematem zaginięć, uciekła do Oli, której nie widziała już siedem lat.
- O właśnie, miałam nawet pytać, czy mówił coś ciekawego. Doradzi, jak schudnąć? – zażartowała, nadrabiając miną.
- Dał nam tabele, do których kazał wpisywać, co zjadłyśmy przez całą dobę, łącznie z wagą produktów, i obliczać, ile to kalorii. Chyba go pogięło! Brakuje mi czasu w ciągu dnia, żeby spokojnie obiad zjeść, to kiedy mam mu tabelę wypełniać?! – zirytowała się Bożena, która skończyła już studia na Uniwersytecie Pedagogicznym i od ubiegłej jesieni uczyła wuefu w podstawówce.
- A ja gdzieś zgubiłam tę tabelę – skwitowała Monia.

Sprężystym krokiem szły przez Floriańską. Było dwadzieścia po pierwszej, za dziesięć minut odjeżdżały nocne tramwaje spod dworca. Ludzi kręciło się jeszcze całkiem sporo, zaczepiali ich naganiacze z nocnych klubów. Z naprzeciwka nadjechała kobieta na wózku, ciągniętym przez dwa białe psy. To husky czy malamuty? – zastanawiała się leniwie Agnieszka. Przed przejściem podziemnym rozdzieliły się. Tamte poszły w lewo na „sześćdziesiątkę czwórkę”, a ona wdrapała się po schodach na przystanek przy Westerplatte. Usiadła w „sześćdziesiątce dwójce”, wyciągnęła smartfona. Na FB zaproszenie

od jakiegoś Dżordż Cluni. WTF? Taki żarcik? Ale to nie George Clooney jest na zdjęciu? Stał przed stadionem, pod spodem podpis: *Z miną właściciela*, a wyżej twarz jej niedawnego znajomego, tego redaktora. Kliknęła „potwierdź”, zaczęła przeglądać galerię, ale za wiele tam nie było.

Tramwaj z jazgotem wykręcał w Aleję Pokoju na Rondzie Grzegórzeckim. Przebudziły się dwie narąbane lalki, w szpilkach i krótkich rozkloszowanych spódniczkach, które dotąd spały – jedna oparta głową o szybę, druga na jej ramieniu.

– No, gdzie my jesteśmy, Madziu, no, gdzie? – histerycznym głosem odezwała się ta od okna.

– Spieprzyłam, no, spieprzyłam tę znajomość... – płacząco, z nutką niedowierzania, Madzia mówiła sama do siebie.

3.

– Leo, pokaż się – jęknęła cichutko Aga. Pozostałe dziewczyny w autokarze przysypiały lub słuchały muzyki, więc nie dotarło do nich, bo znowu byłaby szydera. Jak kiedyś, gdy w hotelu przed meczem oglądała El Classico w koszulce Barcy, którą przywiozła parę lat temu z Hiszpanii. Co im będzie tłumaczyć, i tak nie zrozumieją.

A tu Atletico prowadziło 1:0 po strzale Griezmanna, osiem dni temu w Barcelonie było 2:1, więc aktualny wynik oznaczał wylot z Ligi Mistrzów. A najgorsze, że Blaugrana kompletnie nie radziła sobie z pressingiem przeciwników, zaczynającym się już przy jej polu karnym. Dodatkowo irytowało ją, że oglądana na tablecie

transmisja, wyhakowana przez jedną z tych pojawiających się i znikających stron internetowych, ciągle się przycinała.

Czarny dzień. W Toruniu też nie pykło – 1:3 i zakończyły sezon. O trzecie miejsce nie zagrają, bo – jak stwierdził prezes – szkoda kasy na wygłupy. Inna sprawa, że jakikolwiek sukces nic im nie dawał, bo w tym sezonie nie było awansów do Orlen Ligi. Ale od początku im powtarzali, że celem jest finał, co będzie miało znaczenie propagandowe, gdyby w najbliższych latach udało się zebrać fundusze i złożyć aplikację do ekstraklasy. No to się pokazały.

Na tablecie, po upływie godziny, strefa Atletico trochę się cofnęła, Barça częściej była pod ich bramką, ale niczego to nie przynosiło. Co tam się dzieje? O matko... Karny. Na małym ekranie nie dało się zobaczyć dokładnie, ale piłka przy podaniu odbiła się od przewracającego się Andresa i sędziez stwierdził, że to ręka. Pokazał mu też żółtą kartkę, a tamte szuje jeszcze długo przekonywały go, że powinien dać czerwoną. Wreszcie Griezmann kopnął po ziemi, ter Stegen go wyczuł, rzucił się we właściwy róg, ale piłka minęła jego palce i wpadła tuż przy słupku. Agnieszka ukryła twarz w dłoniach. Czyżby Madryt miał rządzić w tej edycji Ligi Mistrzów?

4.

Niby zaczął się nowy dzień, ale nie skończył wczorajszy pech. Obudziło ją zamieszanie, okazało się, że złapali gumę. Zapasowe koło też miało jakiś feler; zanim sobie ze wszystkim poradzili, do Krakowa wjeżdżali świtaniem. Wyszadzili ją przy Centrum Kongresowym, gdzie udało się złapać ostatni nocny autobus do Huty. Od przystanku,

położonego naprzeciwko pętli tramwajowej na Dąbiu, czekał ją jeszcze kilkusetmetrowy spacer ulicą Widok do bloku położonego przy miniaturowym parku nad Wisłą. Kiedy znalazła się obok salonu fryzjerskiego „Krystyna”, z prawej strony chodnikiem nadjechało dwóch rowerzystów w maskach antysmogowych i ciemnych okularach. Po co im te okulary, przecież ledwo się rozwidniło i słońce w ogóle nie razi, pomyślała ospale, w tym samym tempie odsuwając się na trawnik, bo zejście na jezdnię było zatarasowane zaparkowanymi samochodami.

Rowerzyści jechali teraz jeden za drugim, żeby zrobić jej miejsce. Kiedy mijal ją pierwszy, poczuła gwałtowne szarpnięcie. Leciała do tyłu za torbą sportową, którą pociągnął, i widziała, jak ten drugi zatrzymuje się, zarzucając przednim kołem. Upadając, uderzyła głową o betonową obudowę kosza na śmieci i zobaczyła biały rozbłysk. Ten pierwszy wyszarpywał torbę, drugi pochylał się nad nią i sięgał do szyi.

– Co robicie! – jej wrzask mimowolnie przeszedł w przeraźliwy pisk.

– Ratunku! Bandyci!! – jak echo odpowiedział jej inny krzyk i psie ujadanie.

Napastnicy jakby się przestraszyli. Ten, który już zaczął ją dusić, zerwał z niej tylko małą, sportową torebkę, którą nosiła przewieszoną przez głowę. Wskoczyli na rowery i odjechali. Szczekanie przybliżyło się, najpierw zobaczyła jasnego yorka, po chwili rozległo się sapanie i pojawił się starszy, siwy mężczyzna.

– Tylko spokojnie, panienko, nic się nie stało. Zaraz pomogę ci wstać. – Dreptał obok zafrasowany, dłonią co rusz łapał się za klatkę piersiową na wysokości serca.

Piesek podbiegł i polizał ją po twarzy. Wtedy zaczęła rozpaczliwie płakać.

5.

– Siemanko, Aga, kopę lat. Chyba jeszcze przed świętami się widzieliśmy. – Wychodząc spod Ronda Mogiłskiego, spotkała kolegę z roku na turystyce międzynarodowej. – Gdzie się obracałaś?

– No, heja, „Fazi”. Wiesz, jak to jest, sezon się skończył, więc bajlando. – Odbierający zeznania policjanci nie nakłaniali jej do tego, ale postanowiła nie opowiadać o napadzie. Nawet Bożce jeszcze się nie zwierzyła. Siniak na twarzy przyblakł, ukryła go pod pudrem, kilka innych zasłaniały ciuchy, pod włosami nie widać było pozostałości po wielkim guzie z tyłu głowy. – A ty jak Wielkanoc spędziłeś? Oblali cię?

– Nie, nikt mnie nie wyśmigusował, więc sam dumnie zalałem pałę wyborną gruszkówką. Tradycja chyba umiera w narodzie. Pamiętam jeszcze cytrynki do psikania wodą, butelki z płynów do mycia naczyń z dozownikami, wiadra, no i moc biegu interwałowego, czyli najskuteczniejsze sposoby na pokościelny podryw białogłowy.

– Młodzież zrobiła się leniwa. Całą energię zużywa przy konsoli.

– Nie gadaj jak ciotka Agnieszka. À propos młodzieżowych pasji, to wiesz, że Harry Potter nie dlatego był przesadzony, bo latały smoki, ale dlatego, że rudy miał dwóch przyjaciół?

„Fazi” był bodaj najlepszym jej kumplem na studiach. Przynajmniej wśród facetów. Bardzo sympatyczny, uwielbiający opowiadania o imprezach (czy raczej, w jego przypadku, pijatykach), a przy tym zaskakująco dużo umiejący i chętnie służący pomocą. Niekiedy jednak zachowywał się jak szczył

z podstawówki, ciągnący za warkocz dziewczynę, która mu się podoba.

– Robisz postępy, dotąd szczytem twoich możliwości było „na dziesięciu rudyh jest jedenastu fałszywych” i „rudy, gdy mówi dzień dobry, to już kłamie”. Myślałam, czy się nie przefarbować, ale zrezygnowałam, żeby nie psuć ci zabawy.

– I dobrze, w tym miedzianym kolorze bardzo ci ładnie – z hukiem wypadł z roli. Chwilami nie udawało mu się zamaskować słabości do niej. Ona jej nie odwzajemniała, sięgał jej do ucha. – Naumiałaś się?

– Całkiem całkiem. Zresztą wiesz, że egzamin u Majkowskiego to głównie okazja do przelansowania się w białej bluzce z koronkowym kołnierzem i długiej spódnicy, których normalnie nie zakładam od czasów niedzielnych wyjść na mszę z całą rodziną.

Walorem egzaminu było także to, że po raz pierwszy po napadzie odważyła się na oddalenie od domu bardziej niż do pobliskiej apteki. A korzyść z napadu wyciągnęła taką, że siedząc w chacie, porządnie się przygotowała. Uwielbiała zresztą „zerówki” u Majkowskiego, z którym mieli już trzeci przedmiot. Przyjmował w swoim gabinecie, siedziało się na pufach przy niskim stoliczku do kawy. Kiedy mówiłaś, ulokowany naprzeciwko pyzaty wykładowca uśmiechał się, błyskały mu okulary, a głową kiwał tak radośnie, aż budził obawy, że za chwilę spadnie z tego pufa. To fantastycznie napędzało, dodawało pewności siebie. Człowiek przypominał sobie wszystko, co tylko przeczytał. A jeszcze przedterminy robił w grudniu i kwietniu. Super facet!

Dzisiaj scenariusz był podobny, z tym że wychodziła z piątką, a nie plus czwórkami. Mama i tata najwięcej

uwagi poświęcali coraz bardziej szalejącemu młodszemu bratu, Karolowi, ale zawsze dopytywali o stopnie z egzaminów. Ucieszą się.

Podeszła do grupki dziewczyn, z których część była już po odpytywaniu, część czekała jeszcze na swoją kolej, ale chyba nie rozmawiały o prognozowaniu w turystyce.

– Znaleźli ją podobno wczoraj przy Stopniu Dąbie, tam gdzie woda przepływa przez te śluzy i spada z góry. Tam się zatrzymała – opowiadała Kaśka. – Jeszcze nie ma nic o tym w mediach, ale ta moja koleżanka ma wujka w policji.

– No dobra, nawet jeśli to prawda, nie musieli jej zamordować. Może się utopiła. – Zuza nie lubiła jej i chyba głównie z tego powodu miała odmienne zdanie.

– Tak, ty wiesz najlepiej... Na głowę włożyli jej siatkowy worek, taki jak się nosi ziemniaki albo warzywa. A sznurek od tego worka miała zaciśnięty na szyi.

Agnieszce coraz mocniej dudniło w głowie. Pewnie to ją by zdejmowali z zapory, gdyby nie cierpiący na bezsenność staruszek wprowadzający psa.

6.

– Ludzie, skąd wyście się wzięli, kto was wychowywał? Nie nauczyli was, że trzech rzeczy w życiu się nie robi: nie mówi nic złego o żadnej matce, nie sypia z żonami kolegów i nie kibicuje niemieckim dziewczynom?

Agnieszka wypluła na stolik część piwa nabranego właśnie do ust. Siedząca obok Bożena w paroksyzmie śmiechu padła jej w objęcia. Siedzący przy barze, lekko napity, malowniczo ubrany (ciemnozielony długi szal, którego jedna końcówka majtała się po podłodze, szerokie rękawy brązowej sztruksowej marynarki, pomarańczowe spodnie)

facet zaorał właśnie tym tekstem czwórkę białych kołnierzyków, którzy przy stoliku obok głośno pomstowali, kiedy Saul zdobył prowadzenie dla Atletico. Jeden z nich niemrawo protestował, że Niemców w Bayernie jest niewiele, „poza tym Lewandowski”, lecz tamten zlekceważył go już zupełnie.

Od początku tygodnia wznowiono treningi w klubie i Agnieszka na nie chodziła. Uznała, że jeśli ma przystosować się po wypadku do normalnego życia, musi to zrobić właśnie w ten sposób – wracając do codziennej rutyny. Choć z zachowaniem ostrożności. W poniedziałek „Nosacz” odwiózł ją do domu samochodem, wczoraj Bożka wracała razem z nią tramwajem i odprowadziła pod blok. Od niechcienia zaproponowała dzisiejsze wyjście po zajęciach do piwniczki przy Bocheńskiej, niedaleko hali. Wszyscy znali jej piłkarską pasję, ale przyjaciółka wiedziała też, że smak meczu dla Agi to oglądanie go wśród żywo reagujących kibiców; jeśli nie na stadionie, to przynajmniej w knajpie. Uznała, że półfinału Ligi Mistrzów nie powinna spędzić przed laptopem. Bozia była taka kochana!

– Kogo widzę. Twarde jądro zespołu Princess.
– Obok ich stolika stał, rozpromieniony, ten dziennikarz z meczu sprzed niespełna trzech tygodni. Nie widziały, jak wchodził, co gorsza Agnieszka zapomniała, jak się nazywa. Na fejsie miał przecież tę kretyńską ksywę: Cluni.

– Nie może pan wypowiadać obok siebie słów: twarde i Princess. Wafelki Princesski rozplývają się w ustach. Jeszcze się sponsor dowie i wszyscy będziemy mieli przechlapane. Pan za mówienie, a my za słuchanie.

– Niekiedy pogoń za dobrą ripostą wiodła ją na takie właśnie manowce dowcipu.

– Maciek, a nie pan. A poza tym ta firma coraz mniej interesuje się siatkówką. Ponoć przenosicie się pod skrzydła innego sponsora, a nawet nowego klubu.

Spojrzały po sobie z Bożeną. Prezes do tej pory unikał wszelkich rozmów o przyszłości. „Będzie na to czas w następnym miesiącu i tak macie kontrakty do końca maja”. Trener też wyglądał na niezorientowanego.

– A może, Maćku, chciałby pan się przysiąść. Brakowało nam męskiego towarzystwa – znaczącym tonem powiedziała Bożka.

– Chętnie, tylko przyniosę sobie coś do picia.

Usłyszały, że zamawia sok bananowy zmieszany pół na pół z sokiem z czarnej porzeczki. Niezrażony ironicznym prychnięciem barmana, wrócił uśmiechnięty do ich stolika.

– Muszę jeszcze odprowadzić samochód do domu, a to jest całkiem dobre. Chcesz skosztować? – Dostrzegł, że Agnieszka przygląda się z zainteresowaniem mętnej cieczy w jego szklance.

– Nie, dziękuję. I tak pewnie zsikam się z wrażenia, słysząc nowiny, które przynosisz. – Niemal od razu zakłęła w duchu. To było niesmaczne.

– Sprawa wypłynęła trochę przypadkiem. U nas w gazecie panuje monokultura futbolowa, jak zresztą prawie wszędzie. Ale ten nowy sponsor ma coś wspólnego z handlem stalą, współpracuje z Hutą. I gdzieś tam, na osiedlu Zgody, w hali szkoły pożarniczej, funkcjonuje klub siatkarski?

– No, jest taki, dziewczyny same sobie założyły z trenerem. Marabut chyba. Ale to trzecia liga. Nie miałyśmy z nimi większych kontaktów.

– No to teraz będziecie miały styczność bezpośrednią. Oba kluby się połączą, wasz wniesie w aportie licencję I-ligową i siatkarki, a tamten pieniądze, bo mają jakieś personalne związki z tą firmą stalową. Niektóre rzeczy słyszałem trzy po trzy. Chyba będziecie grać w I lidze na Suchych Stawach, ale zostanie też drużyna trzecioliigowa, żeby nikogo nie wyrzucać.

– No tak, a ciekawe, ilu dziewczyn się pozbędą z naszego składu. Jak pieniędzy będzie dużo, to sobie ściągną lepsze zawodniczki. A ja już nigdzie nie wyjadę, szkoła mnie trzyma. – Bożka była na ogół pogodna, ale czasem lubiła się martwić na zapas.

– Waszej dwójki to raczej nie dotyczy. Z tego, co widziałem, jesteście tam najlepsze.

– Jak się uda... – zawiesiła głos Aga.

– Co nie dogramy, to dowyglądamy. Dobrze zrozumiałam, że przyjechałeś tu samochodem? – spytała Bożena.

– Może podrzuciłbyś potem koleżankę do domu? To tu niedaleko, na Dąbie, ale ona z pewnych powodów nie powinna chodzić sama po zmroku. Ja już chyba nie wysiedzę do końca, muszę przetworzyć te informacje w samotności.

– Spoko. Są jeszcze taksówki. – Agnieszka zdawała sobie sprawę, że tamta nie może wytrzymać, aż nie podzieli się wieściami z resztą dziewczyn.

– To żaden problem, chętnie cię odwiozę. Muszę jeszcze wstąpić do redakcji, obok Błękitka, więc mam po drodze.

Kiedy Bożka już się zdematerializowała, Maciek przesunął się z krzesłem i siedzieli obok siebie na wprost podwieszzonego u sufitu telewizora. Bawiła się pustawym kuflem. Na lewym nadgarstku miała wytatuowane: *l'amitié*, a na prawym zarys kontynentów z rozłożonej mapy świata.

- Brakuje ci chyba Australii? – zauważył.
- Bo do Australii chcę pojechać. I do Nowej Zelandii. Postanowiłam, że jak już je odwiedzę, to pójdę gdzie trzeba i każę dorysować.
- Brzmi dobrze.
- Jak każde często powtarzane łgarstwo. – Uśmiechnęła się kpiąco. – Mam wprawę, bo wszystkim tak odpowiadam. Prawda jest nie tyle banalna, co żałosna. Poszłam tam z koleżankami po imprezie, na której postanowiłyśmy, że zrobimy sobie dziary. Tatuażysta miał dziury w mózgu od narkotyków, a poza tym był całkiem zwyczajnie pijany, więc zapomniał o antypodach. Zorientowałam się przed wyjściem, że mapa nie jest pełna, ale też nie byłam zupełnie trzeźwa, a na dodatek zaczęłam mieć wątpliwości, czy dobrze robię, więc zwałam.
- Parsknął śmiechem.
- A *l'amitié* to przyjaźń, tak?
- Tak, uważam, że jest najważniejsza, także w związkach. Miłość bez niej nie ma szans.
- Twarz mu zmierzchła, ale dopiero to, co powiedział, zabrzmiało niczym zgrzyt żelaza po szkle.
- Piramidalna bzdura. Wygląda na jeden z tych obrzązków z Facebooka opatrzonych pseudofilozoficznym cytatem.
- Może i nawet widziałam to na fejsie, ale tak się składa, że napisał to Fryderyk Nietzsche: „To nie brak miłości, ale brak przyjaźni czyni małżeństwa nieszczęśliwymi” – wyrecytowała wkurzona.
- Tym gorzej dla niego, to nie pierwsza jego poroniona koncepcja. Ja uważam, że w miłości kluczowa jest sympatia i szacunek. Nie sprawia się drugiej osobie przykrości, bo się ją lubi. Nie prowadzi się z nią gier, nie wciąga się

w próby sił typu: „kto okaże, że mu bardziej zależy, ten będzie w gorszym położeniu”, bo się ją szanuje. A nauczyć się tego można na co dzień, obcując z ludźmi, do których nie żywi się gorętszych uczuć. – Tak jak nagle się zapalił, tak gwałtownie zgasł. – Przepraszam, to było za ostre. Przypomniała mi się dawna historia. Ale to zamknięta przeszłość, po prostu popiół się uniósł.

– Luz, nie zdążyłam się obrazić.

– Emocje, jak przy obieraniu ziemniaków. Strasznie ich duszą tym pressingiem – zmienił temat, patrząc na ekran.

– Można znaleźć w tym swoiste uroki.

– Nie myślałaś o jakimś futbolowym motywie tatuażu, przy twoich zainteresowaniach?

– Lubię obejrzeć jakiś mecz lub dwa. Ewentualnie trzydzieści. Ale żeby sobie tatuować piłkę, albo coś o Barcy, którą uwielbiam? Pomyślę.

– *Mes que un club* i tak dalej?

– Przypuśćmy, dajmy na to.

– Ściema. Co to niby ma znaczyć? – Ciągle jednak był w konfrontacyjnym nastroju. – „Więcej niż klub” może mówić o sobie Athletic Bilbao. Oni rzeczywiście są symbolem swojego regionu i kultywują jego odrębność. Od ponad stu lat zatrudniają tylko piłkarzy-Basków lub tam wychowanych. I nigdy nie spadli z ligi, podobnie jak te komercyjne przedsiębiorstwa, Real i Barcelona.

Faceci są dziwni. Nie wystarcza im, że czymś się pasjonują, że coś im się podoba. Muszą wiedzieć o tym wszystko na kilkadziesiąt lat wstecz. Nie mają wystarczającej przyjemności z oglądania mistrzostw Europy w 2016 roku, jeśli nie wiedzą, kto strzelił gola w finale ME 1980. I na tej samej zasadzie chcą wszystko wiedzieć o tobie, o twoich dawnych związkach. I to, co przeżywają obecnie, muszą

porównywać z przeszłością, żeby się przekonać, czy na pewno są szczęśliwi. Co za chore kompleksy. Ten przynajmniej ma odwagę nie zgadzać się z nią na wstępie znajomości. Trzy lata temu spotykała się z Kubą, didżejem poznanym w dyskotecie, który ciągle jej potakiwał. A na koniec wysyłał jej obraźliwe SMS-y, nabijając się z jej piegów, nosa i uszu.

– Tak naprawdę takie sprawy nie za bardzo mnie pociągają. Lubię samą grę, kibiców i kibicowanie – starała się mu wytłumaczyć. – No i otoczkę, rzeczy niestereotypowe. Laurent Blanc całujący na szczęście Bartheza w głowę, podczas mistrzostw świata, to dla mnie obrazek erotyczny. Miałam wtedy siedem lat i tak tego nie odbierałam, ale zapadło mi w pamięć.

– Wywiad z tobą mógłby być bardzo ciekawy. Szkoda, że nie robię już żadnych większych form, bo pewnie zacząłbym właśnie cię na to namawiać.

– Czemu nie przeprowadzasz wywiadów?

– Żadnych większych tekstów. Wolę nie opowiadać ze szczegółami, żeby nie psuć nastroju. W skrócie: miałem dość poważny konflikt w redakcji o to, co napisałem, i o to, czego nie napisałem, mimo że szefowie chcieli. I tak dobrze, że mnie nie odstrzelili, tylko przenieśli do redagowania cudzych artykułów i pisania krótkich notatek, głównie w necie.

– Lubisz swoją pracę?

– Ciągłe tak. Nie trzeba rano wstawać, golić się, nie ma dress code. Może to śmiesznie brzmi, ale dają poczucie wolności. O co chodzi z tą niemożnością chodzenia po zmroku?

– Smog. Po całym dniu ruchu samochodowego jest największy. – Tata żartował czasem, że na chrzcie powinni jej dać na drugie imię Przekora, ale wtedy jeszcze się nie

zorientowali, bo otwierała usta, tylko płacząc lub domagając się jedzenia. Tatuś też nie do końca rozumiał kobiety, choć przez jakiś czas miał w domu aż trzy.

– Jasne. Nie wymiguję się od odwiezienia cię, po prostu jakoś dziwnie to zabrzmiało w ustach Bożeny.

– Napadli mnie. Taka sytuacja. – Opowiedziała mu całe zajście, włącznie z dywagacjami policjantów, czy może mieć ono coś wspólnego z poprzedzającą je nocą, kiedy obcięto dłoń jakiemuś nastolatkowi w Skawinie. Zrobiło się jej słabo, ale gliniarze szybko wykluczyli związek; tam były porachunki kibicowskie z użyciem maczet.

– Wiesz co, w twojej opowieści to wygląda na napad rabunkowy. Zwykły. – Czterema palcami zakreślił w powietrzu znak cudzysłowu. – Mówisz, że on już sięgał do szyi, żeby cię dusić, kiedy spłoszył go ten staruszek. A przecież wcale nie uciekł od razu, tylko zabrał tę torbkę. Może właśnie o nią od początku mu chodziło – to po nią sięgnął, bo miałaś ją przewieszoną przez głowę. Nie chce mi się wierzyć, żeby ktoś chciał zamordować czy zgwałcić kobietę w biały dzień, na ulicy. Raczej czyhaliby w ustronnym miejscu. A że poprzednie poszkodowane znajdowano w Wiśle lub nad brzegiem? Tam zostały wyrzucone ciała, które mogły być przewiezione skądkolwiek albo przyniosła je woda. Nie można powiedzieć, że napadli cię nad rzeką, przecież z tamtego miejsca jest do niej jeszcze kilkaset metrów.

Agnieszka przyglądała mu się, gdy mówił. Nie był bardzo przystojny, twarz raczej pociągła, rysy trochę za ostre, wśród krótkich włosów pokazywały się kropki siwizny. Ale miał ładne ciemne oczy, nad nimi odrobinę dziewczęce, podwinięte rzęsy i pełne usta. No i pamiętała, że jest co najmniej pięć centymetrów wyższy od niej. Mogłaby

chodzić na wysokich obcasach. Odgoniła tę ostatnią myśl. Rozumiała, że stara się jej pomóc, przedstawiając w innym świetle to, co ją spotkało. Łatwiej było pogodzić się z myślą, że ktoś próbował (próbował? udało mu się!) ją okraść, a nie starał się pozbawić ją życia czy zdrowia. I że stała się przypadkową ofiarą, a nie celem zaplanowanego zamachu. Brzmiało to sensownie.

Przypomniało jej się, jak jeden z uczelnianych wykładowców, dryfując w jednej ze swoich niezliczonych dygresji, masakrował amerykańską modę rozwiązywania wszelkich problemów z pomocą psychoanalityków, która zawitała również do Europy. „Najlepszą i darmową terapię są w stanie przeprowadzić najbliżsi: rodzina, przyjaciele. Tylko skąd ci durnie mają o tym wiedzieć, skoro od dziesiętności lat zajmują się rozluźnianiem więzi międzyludzkich, bo jakoby krępują indywidualność!”

Taką właśnie terapią było zachowanie Bożki, teraz Maćka, a wcześniej Nosowskiego, który siedząc za kierownicą swojego garbusa, przemawiał z szorstką sympatią: „Nie przejmuj się tak, dostałaś tylko trochę po łbie, co zdarzało ci się już w przeszłości, dosłownie i w przenośni. Parę razy nawet za moją przyczyną. Wiesz dlaczego uprawiasz wyczynowo sport? Bo masz we krwi ambicję i waleczność. Inaczej niż te pętaki na rowerach, które zwały, gdy się okazało, że za chwilę stosunek sił będzie dwa do dwóch”.

7.

Akurat na wyświetlaczu pokazały się same zera, a cicho gadające radio obwieściło północ, kiedy Maciek przejechał pod czymś w rodzaju wiaty, jaką kończył się niski budynek Lobosu, i stanął przed szlabanem. Odchylił podsufitkę,

wyciągnął jakąś kartę i przez odsunięte okno przytknął do stojącego obok słupka. Metalowy drąg się uniósł.

– Chcesz wejść do środka?

– Czy ja wiem.

– Teraz będzie się portier czepiał, trzeba przejść korydory z wpisywaniem do książki gości. Może kiedyś za dnia to urządzimy, jeśli zechcesz obejrzyć redakcję?

– Luks.

Skręcił w prawo za szlabanem i zatrzymał się.

– Drzwi są po tamtej stronie, ale dyrektor administracyjny kazał dziennikarzom parkować tutaj, żeby przed głównym wejściem było miejsce dla klientów. Teraz niby pusto, ale jakoś mi się to zakodowało – tłumaczył coś, co Agnieszkę mało interesowało.

Zniknął za rogiem, a ona wyjęła komórkę i przeglądała posty na FB. „Fazi” wstawił selfie ze strzechą stojących, skołtunionych włosów i podpisem: *100% natural – mycie jajkiem i usztywnianie na cukrze.*

Mam pomysł na zarobek. Wyprowadzę Cię na Floriańską i będę kasował po pięć zeta za zdjęcie z dzikusem odnalezionym w Puszczy Niepołomickiej – skomentował jego kumpel, Paweł.

A po dysze bierzcie za możliwość poczochronia tej szczyoty. Miliony monet – dopisała Aga.

Maciek szybko wrócił.

– Skopiowałem sobie te pliki. Był jakiś kłopot z wysłaniem mejla, informatyk powiedział, że za ciężkie. – Pomachał jej przed nosem pendrajwem, schował go do kieszeni i odpalił silnik.

Kiedy stanęli przed pierwszymi światłami na Alei Pokoju, z prawej strony podjechał olbrzymi czarny samochód

z paką z tyłu. Agnieszka podniosła wzrok, bo przesłonił światło lampy. I wytrzeszczyła oczy. Kierowca i pasażer siedzący za nim odsunęli szyby, jeden celował do niej z pistoletu, drugi chyba z karabinu maszynowego.

– *Pull over and stop!* – krzyczeli łamaną angielszczyzną i pokazywali, żeby zjechać w Kordylewskiego i tam się zatrzymać.

– Patrz! – wrzasnęła do Maćka. Ten pochylił się, wykrzywając głowę w prawo, jeszcze gwałtowniej wyprostował i wcisnął gaz, a samochód wyskoczył do przodu na czerwonym. Przyspieszał, silnik wył. Na szczęście o tej porze nie było już ludzi, bo dwa następne przejścia dla pieszych przemknęli pod czerwoną luną. Prześladowcy jednak, choć przez zaskoczenie zostali w blokach, zbliżali się.

– Tu niedaleko w prawo i zaraz w lewo będzie uliczka w osiedle! Może tam ich zgubimy! – krzyknęła do Maćka.

– Tam jest mnóstwo parkujących samochodów. Tłok jak diabli! Prędej się rozwalimy, zanim zdążymy się schować. Mam pomysł! Na tych wąskich uliczkach na bulwarach będą mieli problemy. A już na pewno nas nie wyprzedzą.

Ściskając kurczowo kierownicę, przejechał pod wiaduktem; hamując, wpadł na pas skrętu w prawo i zaraz znowu zebrał się ciasno w prawo przed budynkiem z neorem: *Mercedes*.

Drogę ograniczały po bokach nasyp kolejowy i płoty, w tym najdłuższy: jednostki wojskowej. Maciek prowadził prosto, ale gdy dojechali do końca, ostro zarzuciło nimi na wirażu w prawo. Jakoś opanował samochód, z dwóch tras wybrał tę spacerową, wiodącą w dół nad samą rzekę. Przeleciały nad nimi świetliste smugi.

– Strzelają! – zrozumiała Aga.

– Ale to tylko na postrach. Gdyby chcieli, toby trafili. Muszą mieć tłumiki, bo nic nie słyhać.

Podziwiała jego opanowanie. Tyle razy widziała, jak policja jeździ po bulwarach, polując na pijących piwo, kiedyś sama musiała zapłacić stuzłotowy mandat. Teraz ich nie ma, gdy są potrzebni! – myślała ze złością.

Zachybotali się na wyjeździe pod Mostem Kotlarskim, dalej zrobiło się jaśniej. Czytała w necie, że niedawno zrobili tu oświetlenie. Trasa poszerzała się, przy brzegu cumowały statki restauracyjno-kawiarniane. Zerknęła na prędkościomierz – wskazówka doszła do 150 km/h, a Maciek jechał środkiem, żeby bandyci nie mogli ich wyprzedzić. Zaraz wpadniemy do wody! W światłach samochodu zobaczyła przerażone twarze siedzącej na ławeczce pary, a pod Mostem Piłsudskiego faceta, który wchodził już na asfalt, ale gwałtownie rzucił się w tył.

– Tutaj, za łukiem będzie podjazd w górę – przypomniała sobie, kontrolując jednocześnie pozycję pogoni. Byli kilkanaście metrów za nimi.

– Ale wtedy zostanie mi kluczenie po Kazimierzu, gdzie jest gęsto od samochodów, jak na Dąbiu. – Patrzył przed siebie, oczy miał wytrzeszczone i ściągniętą grymasem twarz. – Pod Wawelem jest zwężenie. Mam nadzieję, że my się tam przecisniemy, a oni nie.

Teraz jechali jak po czteropasmówce. Maciek wciskał gaz do dechy, odruchowo odchylając się na oparcie fotela. Przewaga zmniejszyła się do kilku metrów. Naprzeciwko pędziły, zbliżające się do siebie, Wzgórze Wawelskie i brzeg Wisły.

Maciek cofnął prawą nogę, szarpnął drążek zmiany biegów, wrzucając luz i zwalniając. Gładko wjechali między

barierkę a zbrocze. Z tyłu usłyszała przeraźliwy pisk hamulców, zakołysały się oślepiające ich dotąd światła.

Obejrzała się, tamci wycofywali do wylotu górnej, wiodącej u stóp zamku alejki. A Maciek znowu przyspieszył obok tego ogromnego statku z dziwnym dziobem, który kiedyś wywołał aferę, cumując tu samowolnie. Jeszcze jeden most, górka, i ostrożnie wjechali w przerwę w murze. Goniły ich zdziwione spojrzenia niedobitków z Lucky'ego, gdzie dawniej na zakończenie sezonu chodziły na piwo z „Nosaczem” (na co dzień jednak był skłonny opieprzyć cię nawet, gdy podczas postoju na stacji benzynowej przeszedł za blisko półki z alkoholem). Knajpa udostępniała grilla, można było przynieść własną kiełbasę i upiec.

– Nie chcę pokazywać się na głównych ulicach, żeby się na nich nie natknąć. Pod moim blokiem przy skrzyżowaniu też może nie być bezpiecznie. Przenocujemy tutaj w hotelu – mówił nieco odprężony Maciej, wjeżdżając na parking podziemny.

– Nie rozumiem, co się dzieje, wszędzie coś na mnie czyha. – Puściły jej nerwy i szlochała, kryjąc twarz w dłoniach.

– Nie płacz. Mówiłem ci, że tamto to musiał być przypadek i teraz też pechowo znalazłaś się w moim towarzystwie. – Niezdarnie pogładził ją po plecach. – Nie o ciebie chodzi. To mnie dogoniła przeszłość sprzed dwunastu lat.